Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 29 | Niedziela, dnia 15 lipca 1928 roku | Rok IV-ty

TYGODNIK PRAWDA

Cena numeru 40 gr.

Prenumerata z dostawą do domu:
miesięcznie . . 1.35 zł.
kwartalnie . . . 4.— zł.
Konto w P. K. O. № 63.353

ŁÓDŹ — WARSZAWA — POZNAŃ

Treść numeru:

PRASA ZAGRANICZNA O OŚWIADCZENIU MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO.
PRZESTRACH W MOSKWIE.
WIDMO MOCARSTWA POLSKIEGO.
NA WYSUNIĘTEJ PLACÓWCE.
STRAJK BUDOWLANY

RUMIENIĆ SIĘ TRZEBA. — K. Tyr.
BANKIER LOEWENSTEIN. — Stanisław Horwat.
PRZEGLĄD SPRAW ZAGRANICZNYCH. — Bogusław Zabłocki.
ZA KULISAMI PRASY. — F. G.
LATO NIE-LATO. — Herminja Naglerowa.
RADJO. — And.
NAGI WISIELEC. — L. Brun.
SULEJÓW. — Zygmunt Lorentz.
TWORZYĆ BIBLJOTEKI i CZYTELNIE. — Z. Erdman Jabłońska.
WARSKI i BARSKI. — Józef Jankowski.
HANDEŁE, HANDEŁE! — T. Brudzewski.
WATTEAU. — E. Fr.
FELJETON MYŚLIWSKI. — Juljan Ejsmond.
BILANS HANDLOWY A POLITYKA CELNA. — M. B.
KIEPURA.
KASY CHORYCH.
ODDECH. — Leonard Frank.
KRONIKA GOSPODARCZA.
KRONIKA LITERACKA.
RYNEK PIENIĘŻNY I GIEŁDA. — Awil.

Sprawy tygodnia

JAK ZAGRANICA PRZYJĘŁA OŚWIADCZENIE MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO?

SŁYNNY WYWIAD Marszałka Piłsudskiego ożywił zamierający dzięki letnim upałom sezon polityczny Europy. Niema chyba w Europie pisma politycznego, które nie zajmowałoby się tem oświadczeniem i nie poświęcało mu wiele miejsca i uwagi. Stosunkowo najbardziej powściągliwa jest prasa francuska i angielska. Omawia ona objektywnie wywiad, okazuje wielkie zainteresowanie dla pruszonych przez Marszałka spraw, lecz nie snuje przeważnie żadnych przewidywań, ani nie stawia horoskopów na przyszłość. Co najwyżej tu i ówdzie czyta się przytoczone z prasy polskiej ustępy na temat możliwości, do jakich oświadczenie Marszałka otwiera drogę. Ton prasy angielskiej i francuskiej jest taki, jakby tam dobrze wiedziano, na co się w Polsce zanosi, lecz z jakich względów nie chciano zdradzać tajemnicy.

Inaczej zachowuje się prasa niemiecka. Tu już na każdym kroku spotyka się interpretacje, oświadczenia i komentarze do poprzedzającej to oświadczenie rezygnacji Marszałka ze stanowiska premjera oraz zmiany na niektórych fotelach ministerjalnych.

Naogół prasa niemiecka nie dopatruje się w oświadczeniu Marszałka większego niebezpieczeństwa dla ustroju parlamentarnego w Polsce. Nawet bardzo poważne pisma polityczne niemieckie oceniają to oświadczenie jako manewr wewnętrzno-polityczny. Piłsudski uznaje parlament i stosuje tylko pewną właściwą sobie taktykę w stosunkach między rządem a parlamentem. Usunął się ze stanowiska szefa rządu, gdyż przewiduje poważne trudności polityczne i gospodarcze i nie chce, aby obarczono go, jako szefa rządu, odpowiedzialnością za te trudności, nie chce w oczach mas tracić popularności w roli czynnego i zajmującego odpowiedzialne stanowisko męża stanu i dlatego wysuwa na front prof. Bartla, człowieka całkowicie sobie oddanego, za pośrednictwem którego będzie mógł w dalszym ciągu wywierać decydujący wpływ na sprawy państwowe i to w sposób dla siebie o wiele wygodniejszy, bo nieoficjalnie.

Prasa niemiecka posuwa się aż tak daleko, że twierdzi, iż zmiany na kilku ministerjalnych stanowiskach stanowią swego rodzaju usatysfakcjonowanie sejmu za zmiany w budżecie. Zdaniem bowiem prasy niemieckiej, rząd polski pragnie współpracować z sejmem i stara się o zaskarbienie sobie przychylności i życzliwości sejmowej.

W domu powieszonego niechętnie mówi się o sznurze. Niemcy sami mają tyle kłopotu ze swoim parlamentem i tak coraz powszechniejszem staje się tam przekonanie, że z parlamentarnym systemem rządzenia trzeba się będzie prędzej czy później pożegnać, iż unika się w sferach politycznych jaknajstaranniej wszelkiej krytyki parlamentaryzmu. Co ma być, to i tak będzie, niechaj przynajmniej nikt z nas nie przyczyni się do tego bezpośrednio. Takiej zasadzie hołdują obecnie parlamentarne partje polityczne w Niemczech. I dlatego o krytyce parlamentaryzmu, zawartej w oświadczeniu Marszałka, tak mało było wzmianek w politycznej prasie niemieckiej. A te znowu sfery niemieckie, które najzupełniej podzielają poglądy Marszałka na wartość pracy sejmowej, nie mogą być zbyt zachwycone tem, że taka dosadna krytyka przychodzi właśnie z Polski, a nie z Niemiec, że nie jest made in Germany. Z Mussolinim już jako tako się pogodzili i od wypadku do wypadku uważają nawet za dopuszczalne, by zajmować się jego poglądami i jego dziełem — Piłsudskiego jeszcze najchętniej przemilczają.

* * *

NAJOBSZERNIEJ oświadczeniem zajmuje się prasa sowiecka. Patrzy ona na wywody Marszałka pod kątem walki z parlamentaryzmem. Bolszewicy rosyjscy doskonale zdają sobie sprawę, że jeśli jeszcze rządzą Rosją i jeśli nawet z powodzeniem borykają się od jedenastu lat z największemi trudnościami, jeśli udało im się przebić zasieki z drutu kolczastego, jakiemi chciano państwo ich odgrodzić od Europy, jeśli udało się im w triumfalnym niemal pochodzie wejść na arenę polityki międzynarodowej, to **tylko dlatego, że radykalnie zerwali z t. zw. demokracją współczesną** i wprowadzili system **żelaznej dyscypliny i rygoru społeczeństwa w stosunku do władzy państwowej.** Gdyby po przewrocie poszli za wskazaniami demokracji i rozpętali w Rosji **sejmowanie i wolność partyjną,** dawno śladu nie byłoby z państwa sowieckiego, a dzisiejszy władcy Rosji, o ile nie gniliby w katorgach syberyjskich, w najlepszym razie pędziliby mizerny żywot na wygnaniu, podobnie jak arcydemokrata Kiereński, który nie znalazł w sobie dość siły by warcholącego mu pod bokiem Lenina powiesić lub postawić pod słupek.

W Rosji rządzi **elita myśli socjalistycznej,** władzę dyktatorską i to najbezwzględniejszą sprawują tam ludzie, którzy ongiś **stali na** czele międzynarodowego **ruchu socjalistycznego,** ludzie wobec których **zwłaszcza nasi** socjaliści byli cisi i pokorni, za **którymi** powtarzali każde słowo jak ewangelję, na których dziełach kształcili się i zaprawiali w socjaliźmie, wobec których do dziś dnia czują w głębi duszy bałwochwalczy szacunek i nieśmiałość. Jeżeli więc ludzie ci odrzucili parlamentaryzm i odebrali społeczeństwu do reszty swobodę określania swego stanowiska wobec władzy państwowej, swobodę popierania jej lub zwalczania, zależnie od ideologji politycznej, jaką reprezentuje, to **nie uczynili tego dla zaspokojenia jakichś nagle powstałych w nich żądz tyrańskich, ale dlatego, iż doszli do niezłomnego przekonania, że nowy twór państwowy w warunkach współczesnych w żaden sposób ostać się nie potrafi, jeżeli uzależni swoje losy od zmiennych nastrojów i humorów nieobliczalnej masy własnego społeczeństwa,** pozbawiając się w dodatku wszelkiego wpływu na kształtowanie tych humorów.

Bolszewicy znajdą przeto najlepiej wartość silnej władzy państwowej i rygoru społecznego. **Wiedzą doskonale jaką potęgę można rozwinąć przy pomocy tych środków,** wiedzą to z własnego doświadczenia. Zrozumiałem jest przeto ich zaniepokojenie, gdy widzą, że oto w Polsce znalazł się człowiek, który wcale niedwuznacznie zmierza do tego samego celu. Z Polski parlamentarnie rządzonej, szarpanej walkami partyjnemi z **mniejszościami na trybunie parlamentarnej,** polityka sowiecka nie wiele miałaby kłopotów. Wystarczyłoby powtórzyć **metody Katarzyny** i przenikać do Polski porami mniejszościowemi. Sytuacja dzisiaj byłaby nawet lepsza jeszcze, niż za czasów Katarzyny. **Mniejszości są o wiele lepszym przewodnikiem wpływów, niż dawne partje szlacheckie.** Ale Polska, trzymająca w garści swoje własne społeczeństwo, mająca zupełnie rozwiązane ręce i światłą głowę, to dla polityki rosyjskiej i jej planów niebezpieczeństwo tak wielkie, jakiego jeszcze nie zna historja rosyjska. **To widmo Chrobrego w Kijowie, Batorego pod Pskowem.**

Musieli bolszewicy takie widmo ujrzeć po przeczytaniu oświadczenia Marszałka, bo już nazajutrz pojawiły się alarmy o projekcie nowej wyprawy polskiej do Kijowa.

* * *

KOMENTARZE PRASY sowieckiej do oświadczenia Marszałka, to jeden wielki krzyk: „Piłsudski dąży do dyktatury, aby spokojnie mógł przeprowadzić swoje plany wojenne, zagarnąć Litwę i wtargnąć na Ukrainę!" Zobaczymy, że niedługo władze sowieckie odkryją nowy jakiś spisek polityczny na Ukrainie i zdobędą „materjały", z których wynikać będzie, że Polska prowadzi już konkretne przygotowania do wojny z Sowietami.

Urzędowy organ partji komunistycznej w Moskwie, a więc najbardziej miarodajny organ władzy sowieckiej pisze, że słowa Marszałka, iż w krytycznych momentach gotów jest zawsze oddać się do dyspozycji Prezydenta Rzeczypospolitej, oznaczają ni mniej, ni więcej, tylko bliską wojną, którą Polska zamierza prowadzić z jednym ze swoich sąsiadów.

Krzyk prasy sowieckiej ma na celu zwrócenie uwagi europejskiej na Polskę i wywołanie jakiegoś międzynarodowego ruchu przeciw wprowadzeniu dyktatury w Polsce. Pozorem dla takiego ruchu mogłoby być dążenie do uniknięcia niebezpieczeństwa wojennego. Prasa sowiecka alarmuje wszystkich swoich jawnych i utajonych przyjaciół na całym świecie [illegible] akcję przeciw Polsce, aby Marszałka zahamować w jego planach reformatorskich.

A przedewszystkiem zaś napada prasa **sowiecka na socjalistów polskich** i oskarża **ich wobec świata, że to oni pchają Piłsudskiego do dyktatury, że zaprzedali się Piłsudskiemu, aby wraz z nim zgnębić proletarjat polski.**

Prowokacja jest aż nazbyt oczywista. Każde dziecko widzi, że bolszewikom chodzi o to tylko, aby poderwać socjalistów polskich do akcji przeciw planom Piłsudskiego. Zdają się tego nie widzieć tylko socjaliści polscy i wszczynają desperacką kampanję przeciw próbom reform ustrojowych w duchu, jaki bije z oświadczenia Marszałka. Jakby najważniejszą rzeczą było dla nich, aby czasem ktoś na świecie nie uwierzył w perfidne insynuacje bolszewickie, bo to byłoby większem nieszczęściem, niż nawet upadek Polski...

* * *

SYTUACJA POLSKI przypomina położenie armji na froncie i to na najniebezpieczniejszym, wysuniętym, odcinku. Otoczona jest niemal ze wszystkich stron wrogami i walczyć musi stale na kilku frontach jednocześnie. Na zachodzie Niemcy, którzy od podpisania traktatu wersalskiego prowadzą systematyczną, konsekwentną i ani na chwilę nieustającą akcję przeciwko naszej granicy zachodniej. Posługują się w tej akcji wszystkiemi środkami, jakie mają do dyspozycji dzięki stanowisku, które zajmują w polityce i gospodarce światowej. A środki te są ogromnie rozległe. Przez szereg lat prowadzili przeciwko nam **kampanję gospodarczą,** korzystając w niej z pomocy międzynarodowego kapitału. Jak wiele trudu i wysiłków kosztowało nas przełamanie tej akcji, dobrze wszyscy wiemy. I dziś jeszcze nie możemy z całą pewnością powiedzieć, że wszelkie niebezpieczeństwo już minęło z tej strony. Równolegle z akcją gospodarczą Niemcy prowadzą przeciw Polsce rozległą akcję polityczną. Im w dużej mierze zawdzięczamy zatarg z Litwą kowieńską, ich wpływy kształtują w wielu wypadkach nasze stosunki z Rosją sowiecką, oni podtrzymują Gdańsk w wrogim i wojowniczym wobec Polski nastroju, podsycając w umysłach nacjonalistów gdańskich nadzieję, że sprawa korytarza pomorskiego prędzej czy później zostanie zlikwidowana i Gdańsk wróci do Prus. Pozatem wszystkiem z Niemiec dyrygowana jest i finasowana krecia robota w granicach naszego państwa. Objawy jej aż nazbyt często występują w różnych punktach Rzeczypospolitej i w najróżniejszej postaci. Szczegółowe poszukiwania zawsze prawie pozwalają postawić w takich wypadkach diagnozę niemiecką.

Na wschodzie również mocarstwo wrogie, a w dodatku także i wrogi duch społeczny. Bolszewicy nie prędko darują Polsce klęskę pod Warszawą, którą przekreśliła najambitniejsze plany wojującego komunizmu. A jeśli nawet komunizm zapomni o pogrzebie swoich snów o rewolucji światowej, wyprawionym mu przez wojska polskie pod murami Warszawy, to **Rosja nie zapomni nigdy polskiego pochodu na Kijów.** Zajęcie Kijowa przez wojska polskie, chociaż tylko przemijające, przyjęte zostało przez Rosję jako Mane Takel i **zrozumiane należycie.** Upiór ten zawsze już będzie spędzał sen z oczu rosyjskich. Chyba że Polska istnieć przestanie.

Wyprawa kijowska, to jedna z najpiękniejszych kart naszej nowej historji. I taką byłaby, chociażby nawet porażka była jeszcze większa. Wyprawa kijowska, to najwspanialsze świadectwo żywotności narodu polskiego i zrozumienia przezeń najważniejszych wskazań historycznych. Nazajutrz po odzyskaniu niepodległości, jeszcze niezupełnie ocuceni z wiekowego snu w niewoli, **pierwszy nasz krok postawiliśmy na szlaku Chrobrego.** Była to olśniewająca manifestacja ducha narodowego polskiego, której znaczenie ocenią w całej pełni dopiero przyszłe pokolenia. Pokolenie współczesne albo wypłakało swoje oczy w niewoli, albo też **zbyt często musiało je spuszczać** — nie jest więc w stanie ocenić bezprzykładnej wspaniałości tego odruchu narodu, budzącego się dopiero z letargu niewoli.

Zrozumiała go zato i oceniła rosyjska myśl państwowa, tak **znakomicie reprezentowana przez bolszewików.** Polska, której pierwszym odruchem był marsz do Kijowa, stała się i **na zawsze pozostanie śmiertelnym wrogiem Rosji.** Chociażbyśmy z Rosją i tysiąc traktatów zawarli, nie wysuszą one ani jednej kropelki z tego morza nienawiści. Tu leży źródło wielu posunięć rosyjskiej polityki wewnętrznej i zewnętrznej. Widmo Polski w Kijowie dyktuje bolszewikom ich politykę na Ukrainie, bardzo często katastrofalną z punktu widzenia mocarstwowych interesów rosyjskich, każe im nie ustawać w popieraniu, finansowaniu i podtrzymywaniu każdego ośrodkowego prądu w naszem państwie. I ono też rozpętało istną burzę w Moskwie po oświadczeniu Marszałka.

Wtłoczona między te dwie wrogie potęgi, Polska istnieć nie może bez takiego ustroju, któryby najlepiej poręczał jej **sprawność obronną i energję ofensywną.** Każdy atom **energji jest nam potrzebny w tej walce na wie**

CZYNNIKI POLITYKI PAŃSTWOWEJ

SPRAWY SPOŁECZNE — GOSPODARCZE — POLITYKA WEWNĘTRZNA I ZAGRANICZNA

lu frontach, musimy mieć przeto taki ustrój, któryby najskuteczniej poręczał, że ani odrobina energji narodowej nie będzie zmarnowana na waśnie i rozterki wewnętrzne. A przy takim ustroju wyeliminowany musi być przedewszystkiem taki marnotrawca i niszczyciel energji, jaki jest Sejm w dzisiejszej swojej postaci.

* * *

STRAJK BUDOWLANY.

W ŚRODKU SEZONU budowlanego wybuchają jeden po drugim strajki budowlane. Ostatnio strajk taki wybuchł w Łodzi. Historja tego strajku jest poprostu niesamowita. Wśród większości robotników budowlanych w Łodzi nastroju strejkowego nie było. W roku ubiegłym robotnicy ci uzyskali tak znaczne podwyżki, że zarobki budowlane w Łodzi są obecnie najwyższe w całym kraju. Dniówka murarza wynosi w Łodzi 11.20 zł., podczas gdy w Warszawie tylko 10.76. Podobny stosunek istnieje u cieśli i robotników niewykwalifikowanych. Najpoważniejsze związki zawodowe robotników budowlanych były oporne proklamowaniu strajku i do ostatniej chwili trwały na tem stanowisku. Do strajku parły tylko stosunkowo nieliczne grupki najradykalniejszych elementów robotniczych z wyraźnym zamiarem zniszczenia dobrze zapowiadającego się sezonu budowlanego, uniemożliwienia podjęcia w Łodzi pierwszych większych państwowych robót budowlanych, co musiałoby wywrzeć duży moralny wpływ na masy robotnicze i powiększenia w ten sposób na zimę szeregów niezadowolonych i zdesperowanych elementów.

Nawet w organizacji socjalistycznej robotników budowlanych istniała silna opozycja przeciw strajkowi. Socjalistyczny magistrat łódzki prowadzi bowiem szereg większych robót budowlanych i zamierza w najbliższym czasie podjąć te roboty w jeszcze większym zakresie, otrzymawszy znaczne środki na ten cel z Banku Gospodarstwa Krajowego. Magistratowi przeto przedewszystkiem strajk nie jest na rękę i tem się tłumaczy niezdecydowane wobec strajku stanowisko socjalistycznych robotników budowlanych.

W tych warunkach według wszelkiego prawdopodobieństwa strajk nie byłby wybuchł. W najgorszym razie mielibyśmy lokalne próby strajku, które musiałyby jednak szybko wygasnąć. Aliści agitatorzy strajkowi wymyślili sobie sposób. Coś w rodzaju stworzenia faktu dokonanego. Udali się po pomoc **do jednej z podejrzanych agencyj prasowych** i zapewne przy pomocy przekonywujących argumentów osiągnęli to, że agencja ta w niedzielę, późnym wieczorem rozesłała prasie miejscowej specjalnie **sfabrykowane sprawozdanie** o przebiegu wiecu robotników budowlanych, jaki rzekomo miał się odbyć w niedzielę. W sprawozdaniu tem powiedziano, że przy udziale kilku tysięcy robotników budowlanych, należących do wszystkich organizacyj, odbył się olbrzymi wiec, na którym szczegółowo rozpatrywano sytuację robotników w przemyśle budowlanym. Po wysłuchaniu całego szeregu mówców i przedstawicieli poszczególnych związków miano rzekomo jednogłośnie uchwalić natychmiastowe rozpoczęcie strajku w całym przemyśle budowlanym od poniedziałku przed południem. Dalej sprawozdanie mówiło, że wybrana została komisja strajkowa, która niezwłocznie rozpoczęła swoje czynności i w poniedziałek rano prowadzić będzie na budowlach kontrolę, czy uchwała strajkowa jest wszędzie należycie respektowana.

Pisma łódzkie, otrzymawszy od agencji prasowej taką wiadomość, podały ją w poniedziałkowych numerach bez żadnych komentarzy, zaopatrując ją tylko sensacyjnemi tytułami, mówiącemi, że od poniedziałku rana zamarła praca na wszystkich budowlach w Łodzi i że strajkuje 14 tysięcy robotników budowlanych na zasadzie jednogłośnej uchwały wiecu budowlanego.

Wiadomość wywołała zamieszanie wśród robotników. Ponieważ w rzeczywistości na wspomnianym wiecu była zaledwie garstka robotników i to podobno przeważnie bezrobotnych, w pierwszej chwili na budowlach przyjęto wiadomość z dobrą wiarą. Nikt nie był na wiecu, każdy więc przypuszczał, że wiec taki się w rzeczywistości odbył i strajk został postanowiony. W rezultacie w wielu miejscach robotnicy nie przystąpili do pracy i rozeszli się do domów. Okoliczność tę wyzyskali agitatorzy strajkowi i, powołując się na takie wypadki, skłaniali robotników pracujących jeszcze, do porzucenia pracy. Rozpoczęta została wprawdzie kontrakcja ze strony niektórych związków, które tym manewrem zostały zaskoczone, w rezultacie jednak **interes strajkowy został puszczony w ruch** i propagatorzy strajku mieli już ułatwione zadanie. Po kilku dniach zamieszania, wiecowań i narad **strajk ostatecznie został zrobiony** i dzisiaj olbrzymia większość robotników budowlanych strajkuje. Praca prowadzona jest jeszcze normalnie na niektórych sezonowych robotach budowlanych miejskich, ale czy to długo potrwa, niewiadomo.

Bezprzykładny ten manewr podejrzanego biura reporterskiego **uszedł — jak dotychczas — bezkarnie.** O ile nam wiadomo nikt nie uważał za potrzebne i stosowne **zainteresować się bliżej ptaszkiem,** który w taki sposób nadużywał zaufania prasy codziennej. Zareagowała tylko sama prasa i kilka pism zerwało wszelkie stosunki z tem „biurem“.

Znamienny przyczynek, rzucający charakterystyczne światło na stosunki, panujące za kulisami prasy i odsłaniający poważne luki w naszem ustawodawstwie prasowem, które pozwala bezkarnie grasować różnego rodzaju „biurom“ i „agencjom“ prasowym i lada rzezimieszkowi lub prowokatorowi uprawiać proceder dostarczania prasie wiadomości i informacyj.

Trzeba się rumienić!

Mamy do zanotowania dwa fakty: Przed kilku dniami poświęcone zostały w Gdyni dwa nowe statki pasażerskie „Żeglugi Polskiej“. Oba te statki otrzymały nazwy od imion córeczek Marszałka Piłsudskiego. Jeden nazwany został „Wanda“, drugi „Jadwiga“. Ceremonja chrztu statków odbyła się w Gdyni przy udziale Marszałka Piłsudskiego i ministra Kwiatkowskiego. Nazajutrz prawie po tej uroczystości jeden z tych nowych statków zawija do portu gdańskiego. Czeka tam nań banda nacjonalistycznej zbieraniny gdańskiej, urządza przy pojawieniu się statku w porcie kocią muzykę, a gdy statek przybija do pobrzeża, obsypuje go gradem kamieni. Zawiadomiona o ulicznikowskiej demonstracji policja gdańska posyła na miejsce kilku policjantów, którzy dochodzą do przekonania, że nie mogą nic zrobić, ponieważ jest ich mniej niż łobuzów awanturujących się w porcie i zwracają się o posiłki. Posiłki nadchodzą oczywiście, gdy już jest po wszystkiem.

Fakt drugi: Na bezbrzeżną cierpliwość miarodajnych czynników polskich, wykazaną i wykazywaną ciągle w sprawie litewskiej, w szczególności zaś na zdumiewającą pobłażliwość i anielską wyrozumiałość delegacyj polskich, prowadzących beznadziejne rokowania z przedstawicielami Litwy, a raczej odgrywających dobrowolnie rolę w farsie, inscenizowanej przez p. Woldemarasa, premjer litewski reaguje w ten sposób, że wystosowuje do rządu polskiego prowokacyjną notę, w której proponuje Polsce ni mniej ni więcej tylko to, by wyrzekła się Wilna i Wileńszczyzny i stwierdziła, że obszary te nieprawnie znajdują się w jej posiadaniu. W zamian za to p. Woldemaras łaskawie wstrzyma się z uroczystym ingresem szaulisów do Wilna i pozostawi nawet ten obszar pod tymczasowym zarządem Polski aż do definitywnego ukończenia rokowań. Zastrzega jednak, że obszar Wileńszczyzny niezwłocznie będzie zneutralizowany i wyodrębniony z ogólnej administracji państwa polskiego.

Jakie echo i jaką reakcję wywołały te wiadomości w społeczeństwie polskiem? Jakie i gdzie odezwały się głosy protestu przeciw władzy gdańskiej, faworyzującej oczywiście nacjonalistyczne bandy niemieckie i ułatwiające im prowokowanie Polski i uczuć narodu polskiego. Jakie i gdzie odezwały się głosy protestu przeciw arogancji p. Woldemarasa, kpiącego w żywe oczy z naszej cierpliwości i mówiącego wyraźnie i publicznie, że Polska powinna być jaknajrychlej podzielona między sąsiadów, którzy w tym celu powinni wypowiedzieć jej wojnę, chociażby nawet rozpętało się przez to nową wojnę światową.

Owszem, niektóre gazety polskie zaopatrzyły te wiadomości kilkuwierszowemi komentarzami, możnaby nawet znaleźć w tysiącu pism codziennych i perjodyków polskich trzy lub cztery artykuły, poświęcone jednemu lub drugiemu zdarzeniu i zawierające w tonie swoim coś w rodzaju oburzenia, ale pozatem nic. Dosłownie nic... Przeszło sobie społeczeństwo polskie nad jednym i drugim faktem do porządku dziennego, jakby to działo się gdzieś na drugiej półkuli i jakby to nie honor i powaga naszej ojczyzny były szarpane. Znalazło się nawet kilku dziennikarzy polskich, którzy pozwolili sobie na kpinki z uroczystości chrztu statków polskich w Gdyni i między wierszami usiłowali dać do zrozumienia, że nic się znów tak wielkiego nie stało, jeśli w Gdańsku powitano polski statek kamieniami i wrzaskiem. Przecież ten statek był właściwie „belwederskim“, bo chrzciło go dziecko Marszałka Piłsudskiego. Widocznie gdańszczanie także nie lubią Piłsudskiego, a tego nie można im brać za złe.

A że Woldemaras pozwala sobie na prowokacje — dobrze tak Piłsudskiemu. Niech nie myśli, że wszystko się mu uda. Wcale mu to nie zaszkodzi, jeśli trafi na franta.

* * *

Przerażający jest ten brak godności i dumy narodowej w naszem społeczeństwie. Całą naszą miłość ojczyzny utopiliśmy w frazesach i śpiewkach „narodowych“ i do żadnego męskiego odruchu nie jesteśmy zdolni.

Jakże nieskończenie niżej stoimy od każdego innego narodu. Niedawno temu w jakiejś prowincjonalnej dziurze włoskiej gromadka podochoconej młodzieży faszystowskiej poturbowała kilku jugosłowian. Zanim jeszcze dobrze wyschła farba drukarska na gazetach, które przyniosły wiadomość o tem zajściu, zawrzało w całej Jugosławji jak w ulu. Oburzenie na „prowokację“ włoską przybrało takie rozmiary, że omal nie musiano ogłosić w kraju stanu wojennego, bo nie ostałby się ani jeden włoch w królestwie S. H. S. A gdy kanclerz austrjacki, w jednej ze swoich mów w parlamencie, wypowiedział kilka krytycznych uwag o polityce włoskiej wobec ludności niemieckiej w Tyrolu, we Włoszech podniosła się taka fala oburzenia i protestów, że dla uspokojenia umysłów musiano odwołać posła włoskiego z Wiednia i jaknajkategoryczniej żądać od Austrji zadośćuczynienia, które też zostało danem w postaci dalekoidących usprawiedliwiań się. Tak samo, gdy w dniu rocznicy przystąpienia Włoch do koalicji i podjęcia działań wojennych przeciw Austro-Węgrom w jednem z miast austrjackiego Tyrolu grupa nacjonalistycznej młodzieży zerwała sztandar włoski, wywieszony na budynku konsulatu, nastąpiła ze strony włoskiej tak gwałtowna reakcja, że można było rządowi tyrolskiemu podyktować jaknajostrzejsze warunki i warunki te zostałyby w całej rozciągłości wykonane.

Przykładów takich możnaby zacytować bez liku. Niema bowiem narodu, który nie reagowałby jaknajgwałtowniej na każdy objaw lekceważenia, obrazy lub prowokacji swojej dumy i swoich uczuć. Każdy chyba potrafi sobie wyobrazić, co działoby się np. w Niemczech lub we Francji, gdyby nie taka nędza jak Gdańsk, ale nawet potężne jakieś mocarstwo dopuściło do sponiewierania flagi któregoś z tych państw. Oglądalibyśmy rzeczy, o jakich nawet Mussoliniemu się nie śniło.

Tylko my jedni jesteśmy jakby wyprani z wszelkiej zdolności odczuwania krzywd i obraz, wyrządzonych Rzeczypospolitej. Może dlatego, że my sami najbardziej poniewieramy własnem państwem, dlatego, że nasze duchowe nastawienie w sprawach dotyczących państwa jest tego rodzaju, że uważamy je za coś w rodzaju dojnej krowy, którą koniecznie ktoś musi doić i trzymać w własnej oborze. Jeżeli się nam zdaje, że krowa w tej chwili znajduje się w oborze niemiłego nam właściciela, to gotowi bylibyśmy nawet cieszyć się gdyby zdechła i już zawsze gotowi będziemy usprawiedliwiać, a może nawet bronić łotrzyka, który przy sposobności krowę kopnie lub jakieś zatrute zielsko jej podrzuci.

Dotychczas pocieszaliśmy się tem, iż takiem jest tylko współczesne pokolenie, które w przebytej niewoli nauczyło się wrogo odnosić do państwa, gdyż wpajano w nie, że najwyższym nakazem patrjotycznym dla polaka powinno być działanie na szkodę państwa — że natomiast młode pokolenie, dorastająca obecnie młodzież, która okres dojrzewania przeżyła i przeżywa już w niepodległej Rzeczypospolitej, będzie zupełnie inne.

Trzeba się obawiać, że nadzieje te były próżne i przedwczesne. Gdy w okresie przedwyborczym pewnym partjom politycznym potrzebne były manifestacje młodzieży akademickiej, zainscenizowane zostały na zawołanie. Ale gdy dzisiaj w Gdańsku obrażona została Rzeczpospolita, gdy sponiewierano naszą flagę morską, symbol urzeczywistnionych snów wiekowych o własnem naszem polskiem morzu, nie podniósł się ani jeden głos protestu w tysięcznych rzeszach polskiej młodzieży uniwersyteckiej, nie zacisnęła się ani jedna pięść studencka, ani w jednem młodem sercu nie zrodziła się żądza odwetu. Gdy premjer lilipuciego państewka poważa się głosić konieczność nowego rozbioru Polski i pozbawienia jej niepodległości, nie zapaliła się w sercach młodzieży żadna iskierka oburzenia. Nie poderwało jej wspomnienie o możliwości nowego rozbioru. Młodzież tak jak i starzy połknęła prowokację, a na uspokojenie sumienia przeczytała sobie w gazetach bardzo mądre artykuły, że najlepszą taktyką wobec takich prowokacyj jest milczenie, że nie należy tracić zimnej krwi i t. p.

Mądre są takie rady i zapewne nawet pożyteczne — ale rumienić się trzeba, że aż tak gorliwie się do nich stosujemy. Może nas nawet ktoś za to pochwali, ale szacunku dla nas za to nie nabierze.

K. Tyr.

ZAGRANICA

BANKIER LOEWENSTEIN

Pochodził ze starej i zamożnej rodziny bankierskiej belgijskiej. Przed wojną był współwłaścicielem domu bankierskiego Stallaerts & Loewenstein w Brukseli. W czasie wojny nic się o nim nie słyszało. Wypłynął dopiero po wojnie w okresie inflacji, którą przeżywała także i Belgja, podobnie jak wszystkie państwa, które przeszły wojnę. Inflacja miała to do siebie, że rodziła dziwnych ludzi. Niemal przez noc dochodzili do fantastycznych majątków, zagarniali w swoje władanie całe gałęzie przemysłowe, a pod swój wpływ niezliczone instytucje finansowe. Nie wystarczał im własny kraj, wpływy swoje rozszerzali daleko poza granice, a niekiedy i poza kontynent europejski. Stinnes, Castiglioni, Barmat, Bosel, i niezliczone rzesze pomniejszych — oto ludzie inflacji, napoleonowie rewolucji gospodarczej i chaosu walutowego. Do rzędu najwybitniejszych, a może i najzdolniejszych i najzręczniejszych należał Loewenstein.

Na widowni międzynarodowego rynku finansowego pojawia się stosunkowo późno.

Pierwszy raz słyszy się jego nazwisko w roku 1923, gdy zwrócił się do rządu belgijskiego, proponując mu kredyty dla przeprowadzenia reformy walutowej i ustabilizowania franka.* Propozycja nie została przyjęta. Jakiemi drogami doszedł do takiej potęgi finansowej, że mógł zdobyć się na tę ofertę — o tem milczą kroniki publiczne. W każdym razie charakterystyczny jest ten jego pierwszy występ w roli potentata finansowego i pod tym względem zasadniczo różni się on od wszystkich innych magnatów inflacyjnych. Na swoją korzyść wyróżnia się pośród nich Tamci z reguły zaczynali swoją wielką karjerę od tego, że zjawiali się u ministrów skarbu z żądaniem kredytów w państwowych instytucjach emisyjnych. Loewenstein przyszedł, aby skarbowi dać pieniądze. Być może, że dziwny ten człowiek marzył o karjerze Rotszyldów i chciał być bankierem rządów i królów, może chciał odegrać rolę polityczną, jak Zacharow.

Wskazują na to jego rozliczne pasje i zamiłowania. Podczas gdy inni magnaci inflacyjni starali się odegrać rolę Napoleonów gospodarki, okazując zawsze i wobec każdego, że na ich barkach spoczywa ciężar całej gospodarki społecznej, nietylko ich narodów, ale nieomal całej Europy i wielkiej części świata, gdy cała ich uwaga zawsze skierowana była na to, aby ani na moment nie wypaść z tej roli, aby nie zaniedbać ani jednego pozoru, gdy zamęczali się i zdrowie rujnowali poto tylko, aby cały świat widział, jak są zapracowani i jak wymyślnych środków używać muszą, aby nawałowi pracy podołać — Loewenstein chciał przedewszystkiem błyszczeć. Gdy tamci kopiowali nababów amerykańskich, Loewenstein prowadził tryb życia bogatego arystokraty europejczyka.

Oprócz pałacu w Brukseli, po królewsku urządzonego i na iście wielkopańskiej, monarszej prawie stopie postawionego, utrzymywał przez kilka miesięcy w ciągu roku cały dwór w Biarritz. Pobyt Loewensteina w tej miejscowości był zawsze sensacją sezonu. Armja umundurowanej służby, stado luksusowych koni, cały park samochodów. Sam całe dnie spędzał na korcie tennisowym lub na spacerach konnych, mistrz w jednym i drugim sporcie, mający mało sobie równych. Kilka miesięcy w roku spędzał w Anglji, która była mu prawie drugą ojczyzną. Posiadał tam wielki majątek ziemski, w którym co roku urządzał słynne w całym angielskim świecie towarzyskim polowania konne. Tam też posiadał jedną z najgłośniejszych na świecie stajni wyścigowych, a konie jego biegały na największych wyścigach w Anglji i na kontynencie. Na popisach i konkursach hipicznych Loewenstein sam dosiadał konia.

Gdy rząd belgijski zrezygnował z jego oferty, rzucił się do interesów przemysłowych. Bank jego już od dawna był zaangażowany w przedsiębiorstwach sztucznego jedwabiu. Był prawie wyłącznym właścicielem fabryki sztucznego jedwabiu w Tubizie w Belgji, pierwszej tego rodzaju fabryki na kontynencie europejskim. Przez pewien czas pracował nad utworzeniem światowego koncernu elektrycznego, pragnąc przedewszyskiem opanować elektrownie południowo-amerykańskie i kanadyjskie. Na olbrzymią skalę zakrojony plan nie powiódł się jednak w całości i Loewenstein musiał się z interesów elektrycznych wycofać. Zatrzymał jednak w rękach potężne przedsiębiorstwo elektryczne w Kanadzie „Hydro-Electric-Securities Co." Po ograniczeniu swich interesów elektrycznych z nową energją zwrócił się do sztucznego jedwabiu i od kilku ostatnich lat pracował nad zmonopolizowaniem w swoich rękach kontroli nad całą europejską produkcją tej gałęzi. Belgijski przemysł sztucznego jedwabiu znajdował się całkowicie w jego rękach, w holenderskim posiadał tak silne wpływy, że — aczkolwiek nie posiadał większości akcyj poszczególnych przedsiębiorstw — przemysł ten musiał się z nim liczyć i jego wpływom ulegać. Zainteresowany był również w niemieckim przemyśle sztucznego jedwabiu, a z rąk włoskich wykupywał udziały w przedsiębiorstwach, leżących poza granicami Włoch. Między innymi Loewenstein posiadał także pakiet akcyj największej w Polsce fabryki tej gałęzi „Tomaszowskiej Fabryki sztucznego jedwabiu", która rodowód swój także z Tubizy wywodzi.

Wartość kursową akcyj, znajdujących się w rękach Loewensteina oceniano niedawno na okrągło 100 miljonów dolarów, z czego połowa przypada na sztuczny jedwab, a druga na przedsiębiorstwa elektryczne w Kanadzie.

W świecie bankowym Loewenstein stosunkowo mało był zaangażowany. Ostatnio jednak usiłował wtargnąć do banków belgijskich. Chodziło mu zwłaszcza o największy bank belgijski, o „Banque de Bruxelles". Instytucja ta jednak zacięcie broniła się przeciw manewrom Loewensteina, szachując go w przeróżnych jego interesach. Walka o wpływy na tę instytucję przysporzyła Loewensteinowi szereg dotkliwych strat i stała się źródłem szeregu niepokojących pogłosek, szkodzących mu w jego interesach finansowych.

Loewenstein cieszył się wielką popularnością w zachodniej Europie, a zwłaszcza we Francji i Anglji. Zwano go tam wszędzie „latającym bankierem". Przydomek ten zdobył dzięki temu, że posiadał do swej osobistej dyspozycji cały park luksusowych samolotów pasażerskich, któremi posługiwał się w swoich podróżach handlowych, zabierając ze sobą zawsze cały sztab sekretarzy i stenotypistek.

* * *

Mrok tajemnicy otacza śmierć Loewensteina. Wsiadł do swego samolotu na lotnisku londyńskiem. Samolot wylądował w Dunkierce, po europejskiej stronie kanału La Manche i Loewensteina w nim nie było. Co stało się w drodze pomiędzy wybrzeżem Anglji a wybrzeżem Europy — istnieją co do tego tylko domysły i hypotezy. Żadnego sprawdzonego szczegółu niema, ani żadna z dotychczasowych wersyj nie wytrzymuje krytyki.

Pierwsze wiadomości opiewały, że Loewenstein, udając się z kabiny salonowej, w której pracował razem z sekretarzem i stenotypistką, do kabiny toaletowej, przez omyłkę otworzył fałszywe drzwi, mianowicie zamiast drzwi do kabiny toaletowej, drzwi, prowadzące na zewnątrz samolotu. Ujrzawszy przepaść, dostał rzekomo zawrotu głowy i z wysokości kilkuset metrów runął do morza.

Ta wersja wydaje się najmniej prawdopodobną, gdyż obala ją całkowicie krytyka fachowa. Drzwi w samolotach pasażerskich budowane są zawsze w ten sposób, że otwierają się w stronę motoru. Przy szybkości stukilkudziesięciu kilometrów na godzinę i przy huraganowym pędzie powietrza, szarpanego i skręcanego w wir śmigą samolotu, otwarcie drzwi w czasie lotu jest prawie że wykluczone. Wymagałoby to niezwykłej siły. Nawet na ziemi gdy motor samolotu jest w pełnym ruchu, trzeba silnego mężczyzny, aby drzwi otworzył pod wiatr, idący od śmigła. Pomyłka jest więc wykluczona. Przy pierwszej próbie otwarcia drzwi na zewnątrz Loewenstein musiałby spostrzec omyłkę.

Pozostaje drugie przypuszczenie: mianowicie, możliwość zamachu samobójczego. Tutaj znowu brak wszelkich rozsądnych motywów dla takiego kroku. Chyba jakaś wielka tragedja lub kompletna ruina finansowa mogłaby tego rozmiłowanego w życiu i użyciu człowieka skłonić do samobójstwa. Bo melancholikiem ani neurastenikiem ten wysportowany mężczyzna i namiętnie rozmiłowany w swoich interesach bankier nie był. A tymczasem okazuje się, że interesy Loewensteina są w porządku, że ani żadnych większych strat nie poniósł, ani żadnemu z jego licznych przedsiębiorstw nie grozi niebezpieczeństwo. Pogłoski o samobójstwie wywołały panikę na giełdach i w pierwszej chwili papiery przedsiębiorstw Loewensteina mocno ucierpiały na kursie, rychło jednak wróciło wszystko do dawnego stanu.

Są jeszcze dwie wersje: Jedna mówi, że Loewenstein cierpiał na ataki duszności na tle choroby serca. Gdy poczuł, że atak się zbliża, wyszedł do kabiny toaletowej, gdzie znajdowała się woda i apteczka. Atak mógł być silny i pod wpływem duszności zapragnął otworzyć drzwi, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Wówczas wypadł.

Przypuszczenie to rozbija się znowu o argument techniczny. Jeżeli dla zdrowego i silnego człowieka niemożliwem jest prawie otwarcie drzwi samolotu, pozostających pod olbrzymiem ciśnieniem pędu powietrza, to jakże mógłby to uczynić człowiek w czasie ataku duszności, ledwie trzymający się na nogach? Prawdopodobnem przypuszczeniem to nie jest.

Wersja druga jest już fantastyczna i wkracza w dziedzinę awantur z filmów amerykańskich. Przypuszcza się mianowicie, że Loewenstein żyje, że tylko ukrył się gdzieś, aby wywołać poruszenie i panikę na giełdach i wykorzystać ten nastrój do swoich celów. Utrzymuje się ta pogłoska także dzięki temu, że dotychczas, mimo troskliwych i szczegółowych poszukiwań, ciała Loewensteina nie znaleziono. Z drugiej strony wskazują jednak na okoliczność, że widziano Loewensteina, wsiadającego do samolotu w Londynie, a nie było go po wylądowaniu w Dunkierce. W międzyczasie zaś samolot nigdzie nie mógł wylądować, był to bowiem samolot lądowy, a nie hydroplan.

Tak więc tajemnica otacza zniknięcie Loewensteina i być może, że świat nigdy się nie dowie, jaka tragedja rozegrała się w luksusowym samolocie, szybującym dnia 4 lipca ponad kanałem La Manche, jaki był koniec „latającego bankiera" — ostatniego z rzędu Napoleonów powojennej rewolucji gospodarczej w Europie.

Stanisław Horwat.

Przegląd spraw zagranicznych

W Niemczech ukonstytuował się nareszcie rząd z socjalistą Müllerem jako kanclerzem na czele, a Stresemanem jako ministrem spraw zagranicznych. Rząd ten powstał, tak jak w jednym z ostatnich numerów pisaliśmy, nie na zasadzie porozumienia się wielkich stronnictw i utworzenia większości w parlamencie Rzeszy, lecz kanclerz Müller dobrał sobie ministrów z pośród wybitnych polityków, którzy weszli do rządu, wprawdzie za milczącem przyzwoleniem ze strony swych partyj, jednak nie w charakterze przedstawicieli tych partyj i partje również odpowiedzialności za nich nie ponoszą. Jest to więc rząd jednocześnie parlamentarny i pozaparlamentarny, nowy, przekonywujący dowód, że parlamentarny system rządzenia państwem stał się już przeżytkiem i nigdzie prawie nie może być zastosowany, gdzie pojawiają się chociażby najlżejsze trudności. Przykład niemiecki jest tembardziej charakterystyczny, że utworzył taki rząd socjalista, a więc człowiek, który winien był uczynić wszystko, by stworzyć normalny rząd parlamentarny, oparty o większość zgóry przygotowaną, celem złożenia dowodu, że system parlamentarny zdolny jest odpowiedzieć wszelkim wymaganiom.

Nowy rząd niemiecki złożył przez usta kanclerza tradycyjnym zwyczajem swoją deklarację przed parlamentem i uzyskał votum zaufania. Deklaracja ta, tak jak wszystkie tego rodzaju deklaracje, zawiera zwykłe komunały i ogólniki, w których dopiero prasa stara się coś znaleźć i wlać w nie jakąś treść, zależnie od dążeń, które sam reprezentuje. Na uwagę zasługuje tylko jedno zdanie w tym ustępie mowy, który poświęcony był sprawom zagranicznym. Mianowicie kanclerz Müller oświadczył, że rząd Rzeszy przeciwstawiać się będzie wszelkim próbom łączenia sprawy zniesienia okupacji Nadrenji z gwarancjami dla państw bezpośrednio z tą sprawą niezwiązanych. Zawarta jest w tem zdaniu odpowiedź na ostatnie przemówienia ministra Zaleskiego w Paryżu i Brukseli. — W przemówieniach tych nasz minister spraw zagranicznych bardzo silnie podkreślił, że zniesienie okupacji Nadrenji bez poprzedniego uzyskania gwarancyj od Niemiec, że szanować będą zachodnią granicę Polski, stanowiłoby bardzo poważne niebezpieczeństwo dla pokoju europejskiego. Rząd niemiecki oświadcza tedy w swojej deklaracji, że **nie sądzi, aby Polska miała prawo zabierania głosu w sprawie okupacji Nadrenji** i na tem stanowisku zamierza trwać. Za powołanych do zabierania głosu w tej sprawie uważa tylko te mocarstwa, które obecnie faktycznie okupację wykonywują, t. j. Francję, Belgję i Anglję.

Sprawa ta jest dla nas niezmiernie ważna i nasza polityka zagraniczna stoi tutaj wobec niebezpiecznego i trudnego problemu. Francja od Locarna jest już jakby zdecydowana znieść okupację, podobnie Anglja, a Belgja niezawodnie bez opozycji przyjmie taką ewentualną decyzję dwuch swoich sojuszników. Zniesienie okupacji w Nadrenji rozwiąże Niemcom ręce i pozwoli im już bez żadnych skrupułów prowadzić na wszystkich frontach akcję przeciw obecnej granicy polskiej, przeciw korytarzowi pomorskiemu, a zatem przeciw części naszego Pomorza i przeciw naszej bazie morskiej w Gdyni. Polska będzie przeto musiała zabierać głos w sprawie okupacji Nadrenji i ma ku temu prawo formalne, podpis jej figuruje bowiem pod traktatem wersalskim w rzędzie państw sprzymierzonych.

* * *

W Moskwie zakończył się w tych dniach olbrzymi **proces przeciw spiskowcom donieckim.** Narada sędziów trwała 52 godzin. Trybunał uznał za dowiedzione, że w zagłębiu donieckiem istniała organizacja, która miała na celu doprowadzić do ruiny sowieckie przedsiębiorstwa górnicze w tem zagłębiu, a to w tym celu, aby skłonić rząd sowiecki do zwrócenia tych przedsiębiorstw ich dawnym właścicielom. Trybunał uznał także za dowiedzione, że organizacja ta utrzymywała kontakt ze stowarzyszeniami dawnych właścicieli kopalń donieckich, istniejącemi zagranicą, a nawet z rządami niektórych państw.

Oskarżonych w tym procesie było 53 inżynierów, techników i monterów, w tem kilku inżynierów i techników niemieckich, pracujących w zagłębiu donieckiem przy wykonywaniu obstalunków, oddanych przez rząd sowiecki firmom niemieckim. Trybunał sowiecki skazał jedenastu oskarżonych na karę śmierci, trzydziestu czterech na kary więzienia od jednego do dziesięciu lat, czterech na karę więzienia z zawieszeniem wykonania kary, a czterech uwolnił. Między zwolnionymi znajdują się: jeden inżynier niemiecki i jeden monter niemiecki. W stosunku do sześciu z pośród skazanych na śmierć trybunał postanowił zwrócić się do Centralnego Komitetu Wykonawczego republiki sowieckiej o złagodzenie im kary.

W ten sposób zakończona została ta dziwna sprawa, za której kulisami kryje się widocznie niejedna tajemnica. Proces ten jednakże osiągnął cel: straszak kontrrewolucyjny, który ostatnio bardzo często już zawodził, jest nanowo skuteczny i przy jego pomocy rząd sowiecki będzie mógł przeprowadzić szereg rzeczy daleko łatwiej niż bez niego. W szczególności oszczędzi sobie wiele kłopotu przy przeprowadzanej obecnie akcji przymusowego ściągania podatków w zbożu. Gdyby nie ten proces, opornych chłopów nie możnaby kwalifikować jako kontrrewolucjonistów, spiskujących — być może z amerykańskimi handlarzami zboża. Pod wrażeniem procesu donieckiego każde, nawet najbardziej nieprawdopodobne oskarżenie łatwo będzie możliwe, a przynajmniej trzeba się będzie liczyć z takiem niebezpieczeństwem. W ten sposób akurat na przednówku wytworzony został nastrój moralny, ułatwiający wielce władzy sowieckiej represyjną politykę aprowizacyjną.

Bogusław Zabłocki.

ZA KULISAMI PRASY

Dziennikarz morduje dziennikarza

Bruno Wolf, dziennikarz wiedeński w dawniejszym dobrym stylu, namiętny zwolennik pracy gruntownej, ale żywej i sensacyjnej formy, przykuwającej wzrok i uwagę czytelnika—nie posiadający ukończonych studjów uniwersyteckich, natomiast najbardziej wszechstronną wiedzę historyczną, obejście wielkopańskie, z przekonań konserwatysta o olbrzymiej kulturze, w obejściu i stosunkach osobistych demokrata, oddany drobnym przyjemnościom i radościom życia lecz ascetycznie obojętny wobec bogactwa i zbytku. Od długiego szeregu lat pracował gorliwie i z zamiłowaniem dla dobra i powodzenia dziennika wiedeńskiego „Neues Wiener Journal", pisma, które skromnemi środkami dostarcza swoim czytelnikom rzeczywiście wyborowej lektury rozrywkowej. Pracował w redakcji pisma, nie troszcząc się o osoby wydawców i nie objawiając dla nich zbytniego szacunku.

Oskar Pöffel, niemiec z Węgier, człowiek prawie bez wykształcenia, ale protegowany przez wpływowego hofrata. W czasie wojny porucznik w armji austrjackiej, po wojnie organizator bojówek nacjonalistycznych, wreszcie dzięki jakiemuś zbiegowi okoliczności, dziennikarz. Jako taki zjawia się w Wiedniu inflacyjnym, żądny użycia, sprytny, przebiegły i pozbawiony wszelkich skrupułów. Poznaje rychło jakiemi drogami osiąga się powodzenie i niezwłocznie stosuje przywiezione ze sobą metody i zasady w praktyce. Od wczoraj zaledwie w Wiedniu, już poznał wszystkie źródła, z których płynie pieniądz. Aby się do nich dobrać, potrzebny mu jest kran z kurkiem. Znajduje go w dziale handlowym redakcji „Neues Wiener Journal". Gazeta jest mu środkiem do celu, ale zato zdobywa sobie całkowite zaufanie wydawców, panów Lippowitz i Spółki.

Bardzo charakterystyczny jest początek konfliktu pomiędzy tymi dwoma „kolegami". Wolf dostaje w ręce dokumenty, dotyczące afery nauczycielki języków, sadystki, panny Kadiwec, godnej pożałowania warjatki, którą zapakowano na wiele lat do więzienia, aby nie dopuścić do kompromitacji wysoko postawionych osobistości. Dokumenty te zawierają szczegóły, których opublikowanie byłoby wysoce niemiłe dla pewnych władz. Zanim jeszcze Wolf się namyślił, jakby tu dla dobra i poczytności pisma wyzyskać te dokumenty, wpada policja i konfiskuje je. Miłośnik sensacji, jakim jest Wolf, nie może przeboleć straty. Pasjonuje się, wpada w wściekłość. Kto mógł zdradzić jego tajemnicę, kto zdmuchnął mu z przed nosa sukces dziennikarski? Nikt inny tylko Pöffel, który gwiżdże na to, co będzie w piśmie i interesuje się raczej tem, co nie będzie wydrukowane, jeżeli na tem można zarobić — Pöffel, gotów zawsze do szpiclowskich usług, musiał zdradzić policji, że Wolf posiada dokumenty, skradzione w zakładzie karnym w Steinhof przez maniaka puryfikatora, a przytem nałogowego kokainistę. Może nawet nic sobie przytem nie myślał — ot pragnął wykorzystać sposobność, aby przysłużyć się policji, z którą jego zdaniem zawsze dobrze jest żyć w przyjaźni i mieć u niej długi wdzięczności. Nie liczył się jednak z obrażoną dumą zawodową Wolfa. Wolf piorunuje z powodu zdrady tajemnicy redakcyjnej i zaczyna patrzeć na palce wczorajszego przybysza. I odrazu spostrzega wiele dziwnych rzeczy. Wczorajszy nowicjusz, który przyszedł do redakcji w wyświechtanych porciętach i podartych butach, nosi dzisiaj najwytworniejsze ubrania, stołuje się w pierwszorzędnych restauracjach i odwiedza swoich klijentów w własnym Daimlerze. „Robi" ogłoszenia dla przedsiębiorstwa panów Lippowitz i Ski, a gdy ktoś nie chce dać dobrowolnie drogiego ogłoszenia, to zajmuje się nim w dziale handlowym, który oddany mu został do wyłącznej dyspozycji. Obraca się jak stary dobry znajomy wśród inflacyjnych spekulantów, jest za pan brat z potentatami i królami giełdy wiedeńskiej.

Wolf staje na stanowisku zawodowem: Ponieważ statut organizacji dziennikarskiej wyraźnie zabrania dziennikarzom zajmowania się akwizycją ogłoszeń, Wolf ma prawo pozbyć się Pöffla z redakcji nawet wbrew woli wydawców. I czyni to.

Ale teraz zmienia się sytuacja: Pöffel skarży wydawców o należne prowizje, ponieważ za ich zgodą i na ich polecenie trudnił się akwizycją ogłoszeń. Pretensja wynosi olbrzymią na ówczas sumę kilkudziesięciu tysięcy koron, do której doszedł w tajemniczy jakiś i bliżej nigdy niewyświetlony sposób. Coś niecoś jednak przesiąka. Mianowicie kilka dni przed bankructwem banku Castiglioni, wydawcy „Neues Wiener Journal" zdeponowali w tej instytucji wielką sumę. Należało postarać się o to, aby przed ogłoszeniem upadłości, gdy rzesze wierzycieli drżały w niepewności, suma ta została przez bank wypłacona. Należało dążyć do tego wszelkiemi sposobami i wszystkiemi środkami. (W związku z tem wiedeńska socjalistyczna „Arbeiter Zeitung" złożyła w prokuraturze skargę o wymuszenie przeciw Lippowitzowi, skarga jednak nie znalazła się dotychczas na wokandzie). Pöffel grozi rewelacjami, jeśli pretensja jego nie zostanie pokryta. Wydawcy zwracają się teraz do Wolfa o pomoc przeciw Pöfflowi. Wolf kwalifikuje Pöffla publicznie jako szantażystę. Ten skarży. Na rozprawie, która dopiero teraz się odbyła, Wolf przeprowadza dowód prawdy. Pöffel dobywa rewolweru i na sali sądowej kładzie trupem Wolfa.

Pöffel powędruje do więzienia, a najprawdopodobniej do sanatorjum dla umysłowo chorych. Ale mniejsza o niego. Bardziej znamiennem jest zachowanie się wydawców pisma. Gdy widocznem już było, że termin rozprawy nie będzie już mógł być przesunięty, panowie Lippowitz i Ska dają znać Wolfowi, że powinien zrzec się oskarżenia, gdyż inaczej jego stanowisko w piśmie nie będzie do utrzymania. Wolf, wiedząc, że za kulisami nastąpiło już porozumienie pomiędzy Pöfflem a wydawcami, odmawia i otrzymuje wypowiedzenie. Mimoto poszedł na rozprawę, aby bronić honoru pisma, w którem pracował od młodych lat.

Prasa wiedeńska okazała w związku z tym wypadkiem przedewszystkiem silne zakłopotanie. Gdzieniegdzie tylko odważono się napisać coś o złych zwyczajach, jakie się po wojnie zakradły do prasy wiedeńskiej i ostrożnie wskazać na panów Lippowitz i Spółkę, jako na moralnych winowajców tej tragedji. Zakłopotanie to jest zrozumiałem. Lippowitz przybył trzydzieści lat temu do Wiednia gdzieś z dalekich krajów i obecnie zajmuje w świecie wydawniczym bardzo poważne stanowisko. Ufundował kilka nagród, które prasa wiedeńska przyjęła a gdy niedawno temu obchodził jubileusz pracy wydawniczej, nie było pisma, które nie poświęciłoby długiego artykułu zasług, jakie ten wydawca położył około rozwoju i „poziomu" prasy wiedeńskiej.

F. G.

Radjo

Sezon ogórkowy w całej pełni. Rozpalone powietrze staje się złym przewodnikiem fal magnetycznych. W głośniku odzywa się zaledwie kilka najsilniejszych i stosunkowo niedalekich stacyj. Dopiero późnym wieczorem wybór jest nieco większy, ale zato o godzinie 12-ej panuje z reguły cisza w przestrzeni. Stacje nadawcze skracają wedle możności wieczorowe produkcje w mniemaniu, że i tak w lecie nikt w domu nie siedzi i radja nie słucha, a na letniskach wiejskich, wiadoma rzecz, że spać się chodzi z kurami.

Lato jest niebezpieczną porą dla radja. Na porządku dziennym są wypadki w czasie burzy lub w dnie duszne i parne, gdy powietrze przeładowane jest elektrycznością. Antena chwyta nietylko fale elektromagnetyczne, wysyłane ze stacyj nadawczych, ale chwyta także energję elektryczną znajdującą się w powietrzu i bardzo często, zwłaszcza przy antenach bardzo wysoko założonych, napięcie w drucie antenowym jest bardzo silne. Były już wypadki poważnego porażenia przy dotknięciu się uziemnienia lub kontaktów nieuziemnionej anteny. Bardzo często zdarzają się także wypadki uszkodzenia odbiorników przez spalenie lamp. Ostrożność przeto nigdy nie zawadzi i zawsze jest wskazaną w letnich miesiącach. Jeżeli odbiornik ma być przez dłuższy czas pozostawiony w opuszczonem mieszkaniu, to najlepiej jest wogóle przerwać połączenie antetowe w tem miejscu, w którem kabel łącznikowy z zewnątrz wchodzi do mieszkania, gdyż nawet najlepiej wykonane uziemnienie nie zabezpiecza dostatecznie ani instalacji odbiornikowej, ani mieszkania przed możliwymi wypadkami.

Przy posługiwaniu się odbiornikiem w lecie najlepiej jest przerywać odbiór natychmiast, gdy trzaski w głośniku stają się zbyt głośne i często po sobie następują. Oznacza to bowiem najczęściej, że antena ładuje się elektrycznością atmosferyczną, a wówczas zawsze istnieje możliwość conajmniej uszkodzenia aparatu.

W handlu jest wiele rodzajów bezpieczników burzowych i tak zw. odgromników. Przybory te nigdy jednak bezwzględnej ochrony nie dają. Bezpiecznik można sobie zainstalować, ale na bezpieczniku całkowicie nigdy polegać nie wolno. Zupełne bezpieczeństwo daje tylko antena pokojowa i kto posiada odpowiedni odbiornik najlepiej uczyni, wyłączając na lato antenę wysoką, a instalując przy odbiorniku antenę pokojową. Może wówczas spać spokojnie — nawet poza domem — a w dodatku odbiór będzie miał czysty i wolny od tak dokuczliwych letnią porą trzasków i przeszkód.

'And.

LATO NIE—LATO

Trzeba na krótki czas odejść od książek. Może tylko na tydzień, może i krócej, bo nie tak łatwo jest odzwyczaić się od nałogu. Przez cały rok dziobie się, niby ziarna, wszelakiego rodzaju literki i składa z nich wizje, wysiewa jakieś ważne kwestje i tendencje, aby ostatecznie po swojemu przeinaczyć czyjąś pojekcję twórczą, to znaczy napisać t. zw. recenzję. Wedle tych przeinaczeń ustosunkowujemy się przecież do książek, popełniając bezwiedną nieuczciwość wobec autora.

Stwierdzam jednak z najwewnętrzniejszym wstydem, że nasza nieuczciwość patrzenia i odczuwania dotyczy każdej sprawy. Że jest to więc obyczaj zwyczajnie ludzki, a nie tylko — literacki. I tak naprzykład — nic nie pomoże słońce, które ma swoją obliczoną prawdę od wschodu do zachodu — bo nam właśnie chmurzy się dzień i ziębnie ten krótki, letni czas. Z naszej to grymaśnej niechęci powstają huragany i burze, z naszego sceptycznego niedowiarstwa ułożyły się te jesienne, rude cienie w lipcową porę.

Mamy poprostu zły humor i nie chcemy widzieć puszystej zieleni parków i alej, nie raczymy dostrzegać, że przekwitły w należny czas kasztany, a mały owoc ukrył się pod rozwartą dłonią liści, że już dawno odmiótł wiatr śnieg akacjowego kwiatu i właśnie, jak na lipiec przystało, pachną lipy zielonawemi pręcikami, a namiętność aksamitnego trzemiela sroży się wśród lewkonji.

Miasto jest więc przystrojone, choć nie nastrojone wedle wskazań letniej pory. Zadużo bowiem ludzi w Warszawie, niema kanikuły i nikt nie lęka się kurzu, bakcylów i nagłej śmierci na rozpalonym asfalcie. Pod wieczór toczy się leniwa ciżba, a panie dmuchają w futrzane kołnierze. Dolina Szwajcarska i wszelkie inne zbagatelizowane doliny miejskich uciech są jasne od świateł i szumią muzyką. Na małych wycinkach posadzki rozgrzewają się tańczący, a saksofony jęczą, jak pesymistyczne noworodki. Zasiedzieli się ludzie po restauracjach i kawiarniach i rozważają dylemat: wyjechać z Warszawy, czy też trwać tu przy saksofonach i atrakcjach dancingowych?

Nawet w przystani bełtają się na Wiśle parowczyki, łódki i jakiekolwiek skorupy, nieświadome już swego celu. Dal Wisły kurzy się bowiem pod mgłą, i zimny wiatr mąci fale. Więc ludzie stoją na brzegu i dziwią się ochocie nielicznych wioślarzy, dziwią się gwizdaniu parowców. Można conajwyżej pomyśleć trochę o tych wszystkich dalekich drogach, wiodących w świat i leciutko potęsknić w którąś tam stronę wiślanego ramienia. Bo potem idzie się ze złego nawyku na plażę i siedzi w palcie na piachu, trzymając w ręce kapelusz, jak na oficjalnej wizycie.

Od niedzieli do niedzieli układa się plany węsząc w powietrzu, niczem marynarz. Znamy się już na kierunkach wiatru, jak wilki morskie i na zachodach słońca, jak wiejski gospodarz. Pewne tajemnice ujawnia nam tak że księżyc, który rzadko kiedy zdejmuje lisią czapkę, aby przewietrzyć łyse czoło w granatowym chłodzie nocy.

Gdy się więc wyłuskało taką niedzielę, która bodaj mruga światłem i cieniem, idzie się na Nowogrodzką i czeka na elektryczną kolejkę. Ma się tu chwilę prawdziwie europejskiej dumy. Czerwone wagoniki i złote fladry mahoniu puszą się przecież niebylejakiem słowem: — komfort! Można się więc rozsiąść szeroko i pomieścić swój wycieczkowy tobół, aby już z gotowym zachwytem wycinać w szybie mizerny, podmiejski pejzażyk.

Jeszcze przedtem należy się zastanowić nad rozkopem pod gmach Cedergrena, który tu wzniesie się u wylotu Nowogrodzkiej i Poznańskiej dla międzymiastowych telefonów. Tymczasem głęboko w gliniasty grunt wryły się machiny i łopaty, a belki, niby ramionami, podparły ścianę ziemi. W momencie podziwu nad tą niewiadomą i okiem laika nierozpoznawalną pracą, zapomina się o wielkim przeciwlicznikowym spisku. „Der Mensch ist gut" — pisał przecież niemiecki autor po wojnie i doprawdy już nie o cedergerenowską żałość tu idzie, ale o dobroć naszych serc, wybaczających warszawskim przedmieściom. Takiej Grójeckiej naprzykład, albo tym rozwalonym płotom, które niby to strzegą sadów, tym domom-chlewom, patrzącym zakiśniętemi szybami okien czy zawadjactwu dachów, łobuzujących wśród znagła wyrosłych bloków kamienic. Gdzieś zdaleka, nam nie podrodze, płomienieją dachówki kolonij i w szczere pole wybiega nowe miasto, jasne, białe, lekkomyślnie radujące się błotem swoich ulic.

Jedziemy tak do Leśnej Podkowy. Żyto zatraca już swoją zieleń, jęczmiona zato kędzierzawią się świeżo pod kłos, łąki przyprószone kwiatem, a kartofliska rozplatają się bruzdami niczem wachlarz. Nad polami sterczą miotły drzew, albo ustawiają się w rzędy młode paliki szczep owocowych. Nagle lustrem zaświeci moczar, wesoły, rozpluskany, nic nie wiedzący o swoim złym, malarycznym oddechu. Obsiadły go zresztą kopce śmiecia, skrzące się, niczem mika, odłamkami szkła. Wszelka niepotrzebność miasta, wyniesiona tu, oddaje powietrzu swój ckliwy odór i wrasta w ziemię spopielałym gałganem, zardzewiałą puszką, drukiem gazet, drzazgą drzewa, ostrym klinem szkła.

Konduktor woła: Granica miasta! Tnie się ona wpoprzek szyn i niewidoczną linją poprzez pole. Już ją sobie w myśli wyrysowujemy rozległym kręgiem, wzruszając się dla tego miasta, które przekroczy kiedyś i tę i inną granicę, rozeprze się ku Rakowcu, ku Bielanom, ogarnie Wisłę w sam środek, przyrówna z ziemią wały fortów, niczem kretowiska, które depce stopa człowieka.

Iglasty wytrysk radiostacyj wyrysował się na tle chmury, a kolejka wygwizduje stacje, drżąc z pośpiechu na szynach. Mijamy park Tworek i z zastraszoną ciekawością wpatrujemy się w gęstwinę, w piętrowe okna zakładu. Któż bowiem wie o swojej własnej myśli, czy nie wyskoczy z szyn i nie zabłąka się w wirze, nie okręci się wokół siebie, nie odbiegnie w nieznaność, nie zapadnie się w czarną chmurę bezpamięci? Oczy płoszą się więc i plączą wśród gałęzi, aby za chwilę pozbierać już bez lęku małe wille i rozczochrane domki, skrawek lasu i znowu ogródek z płomykami nasturcji, z rozmaitą zielenią warzyw. Stąd to właśnie idzie do miasta różnoraka „włoszczyzna", wiosną przykryta szybami inspektów, a dziś oddychająca już — rzekłbyś — pełną piersią.

Gdy stajemy w Pruszkowie, robi się wesoło w tramwaju od konceptów. Trzeba tu bowiem wspomnieć plebiscyt trzeźwości i nieoczekiwaną klęskę wódki. Tak się właśnie dzieje, że nikt nie chce wierzyć w pruszkowski prohibicjonizm i cieszy się z bluffu. A tymczasem ten śmieszący początek to już czyn jakiejś poważnej akcji, która może otrzeźwić nasze sobotnie „fajeranty" i niedzielne uciechy. Pruszków ukrył się zresztą za gajami i ledwie smolnymi kominami zdradza swój byt.

Tor kolejki wrzyna się w wesoły lasek, urasta nad łąkami, posypanemi białą kaszką

NAGI WISIELEC

Spojrzałem na zegarek.

Pociąg pośpieszny do Warszawy miał nadejść dopiero o 19-ej. Trzy godziny czekania!

Tak długi pobyt w poczekalni, przy stole, ozdobionym bukietem sztucznych kwiatów, wśród sennego brzęczenia much — wydał mi się męczarnią nie do zniesienia. Wybrałem się tedy do miasteczka, brnąc odważnie w błocie, kultywowanem przez miejscowy magistrat.

Miasteczko, jak miasteczko. Nie różniło się niczem od setek innych polskich miasteczek. Odrapane i krzywe domostwa, nędzne żydowskie kramy, rynek z odwieczną kałużą — wiadomo...

Aliści zaroiło się na sennych ulicach. Odświętnie ubrane gromadki dążyły śpiesznie gdzieś za miasto. Dałem się ponieść prądowi.

— A nuż to jakaś zabawa lub uroczystość sportowa?

Najpospolitszą uroczystością w naszym kraju jest, niestety, pogrzeb. I tym razem trafiłem na pogrzeb.

Chowano kogoś znacznego. Tak miarkowałem po orszaku żałobnym, złożonym widocznie z notablów miejscowych. Dużo młodzieży i kobiet. Twarze poważne, stroskane.

Zdjąłem kapelusz. Obok mnie stał z obnażoną głową typowy elegant miasteczkowy w sztylpach i bryczesach.

— Czyj to pogrzeb? — zagadnąłem tego tubylca.

— Panny Żabkiewiczówny.

— Nauczycielki? — domysł ten przyszedł mi do głowy na widok licznego orszaku dziewcząt.

— Nie — wyjaśnił uprzejmy młodzian. — Nieboszczka ukończyła niedawno naszą szkołę. Umarła na suchoty. To są jej koleżanki.

Machinalnie poszedłem za trumną, wmieszany w tłum.

— Miała 19 lat — komentował młodzieniec, omijając starannię błotniste wyboje. — Zarabiała szyciem na dom. Dawała lekcje. Uczyła się dobrze. Przepracowała się.

Niechże Ci ziemia będzie lekka, nieznana bohaterko!

Skręciłem na rynek. Mój rozmówca za mną.

*

— A niedawno — rzekł z bezmyślnym uśmiechem — chowaliśmy mojego kolegę. Powiesił się.

— Wesołe miasteczko, niema co — pomyślałem, pytając zarazem dla podtrzymania rozmowy:

— O cóż mu poszło?

— Nie dostał promocji, a że był „drugoroczny", więc miano go „wylać" z „budy".

— Rok rocznie powtarza się to samo — pomyślałem, westchnąwszy szczerze:

— Szkoda chłopca!

— Wielka szkoda — ożywił się młodzieniec — to był dobry kolega, uczynny, serdeczny, zawsze wesoły.... Do książek to niebardzo był chętny, ale do sportu jedyny. Jeszcze tydzień temu reprezentował nasze miasto na zawodach sportowych w Y. Był kapitanem naszej drużyny. Dyrygował naszą orkiestrą. Był najwyższy, najsilniejszy i najlepszy z nas wszystkich.

Te słowa, wygłoszone z naiwną prostotą, zastanowiły mnie.

— Jak mogliście pozwolić — rzekłem prawie z wyrzutem — żeby taki chłopiec odebrał sobie życie?

Tubylec wzruszył ramionami.

— Ba, gdyby to od nas zależało!

— No, dobrze, a jego rodzina?

— Z rodziną to było gorzej. Ojciec zginął na wojnie, matka wyszła powtórnie zamąż. Ojczym nie lubił go. Wymyślał mu od próżniaków i darmozjadów. Chłopiec miał ciężkie życie. Matka, zahukana, umiała tylko popłakiwać nad swoim losem. Więc kiedy mu powiedziano w szkole, że będzie „wylany", poszedł do domu, wyszukał mocnego postronka i powiesił się w stołowym pokoju.

— Dlaczego w stołowym?

Bo tam był w suficie hak od lampy. Mieszkanie było puste. Kiedy ojczym wrócił, zastał nagiego wisielca.

— Nagiego?

— A tak. Chłopak był ambitny. Ponieważ ubranie sprawił mu ojczym, więc mu je zwrócił przed śmiercią. Zdjął ze siebie wszystko, z koszulą włącznie, ułożył starannie na krześle i powiesił się nago. Wszedł na kredens, odczepił lampę od sufitu, umocował sznurek na haku, założył sobie pętlę na szyję i skoczył. Na kredensie zostały ślady jego trzewików.

— Trzewików? Przecież powiesił się nago...

— Ale nie bosy. Miał na nogach półbuciki, które dostał w prezencie od babci...

Młodzieniec zamilkł, zapalił papierosa, ukłonił się z wdziękiem panience na ganku, splunął i dodał filozoficznie:

— Ja tam nie taki głupi, żeby się wieszać o byle co. Skończyłem sześć klas i szlus. Co mi tam przyjdzie z tego wyższego wykształcenia? Równe nic. Mordować się tyle lat po to, żeby później z głodu zdychać przez całe życie na jakiejś tam marnej posadzinie — dziękuję! Poszedłem na praktykę do ślusarza, teraz jestem mechanikiem, zarabiam nieźle, wszędzie dam sobie radę i bardzo mi z tem dobrze. A ci z moich kolegów, którzy skończyli w tym roku, to niebardzo wiedzą, co robić. Zazdroszczą mi. A ja śmieję się z nich. Tylko żal mi tego, co się powiesił. Dobry był chłop i do rzeczy.

*

Pociąg unosił mnie chyżo w stronę Warszawy, ludzie wsiadali i wysiadali na stacjach, a ja myślałem wciąż o nagim wisielcu. Ten chłopiec miał niewątpliwie dużo charakteru. Zostawił rzeczy ojczymowi. Nie chciał zabierać do grobu darów nienawistnego człowieka. Nagi rozstał się ze światem, który obszedł się z nim tak okrutnie.

I przyszło mi do głowy, że gdyby w naszych szkołach umiano cenić nietyle nabytą wiedzę książkową (każdy mól to potrafi), ile zalety charakteru — toby ten młody desperat z nędznej mieściny wyrósł na dzielnego, pożytecznego człowieka i — kto wie? — dokonałby może w przyszłości czynów niezwykłych...

Może ten i ów zauważył wraz ze mną, że wielkość człowiecza mierzy się nie wykształceniem, lecz charakterem. Szkoda, że z tym faktem nie liczą się nasi wychowawcy. Gdyby umieli się z nim liczyć, mielibyśmy mniej dyplomowanych zer, mniej nagich wisielców, a więcej ludzi z charakterem.

L. Brun.

---

kwiatów i wreszcie tramwaj wyrzuca podróżnych w Podkowie Leśnej. Już się tu rozbudowują wille w kombinowanym stylu „pele mele", dobrze obliczone na letników. Las pluszcze się w chłodnawym wietrze i jest przestronny, dobrze podłysiały, pofałdowany na wzgórki i doliny. Można więc wybrać polankę i skrawek nie niepokojony przez mrówki. Słońce spada na chwilę, jak złoty, jedwabny szal i oplątuje czoła spiekotą. Ale już przepływa po niebie chmura, wzdęta, jak kłąb dymu, a las mroczy się i szeleści.

Między pieńkami dębiny bielą się koszule mieszczuchów i fruwające krepdeszynki pań. Odprawia się familijne siesty nad obrusem, kiełbasą, jajkami na twardo i solą w papierku. Butelki „czystej" usiłują nie tracić równowagi, a czerwony, syty sen kryje się pod płaszczem. Organki bzykają melodyjkę, psiak szczeka echu leśnemu, a ktoś odkrył w sobie talent kukułki. Robi się przyjemnie i głupio. Zmrużone oczy mają w szpareczkach las i niebo, a wszystko widzi się, jak przez szkiełko panoramy — właśnie bardzo zielono i bardzo niebiesko.

W jaskrawości barw nie chce się już pomieścić żadna z tych myśli, które tak uparcie kuło się na miejskim kowadle. Więc idzie się przed siebie, — a tu piach, tu ostra, szara trawa leśna, tu gałązka ożyny, żółty kwiatek i zeschłe wspomnienie poziomki. Sięga się zuchwałą ręką po dębowe liście, po ten, łatwo tu osiągalny, symbol zwycięstwa. Daleko gdzieś syrena kolejki wwierca się w przestwór i pewnie świat idzie swoim, pracowitym trybem, choć tu wędruje sobie niedzielne próżnowanie, albo przesypia się wysokie słońce południa.

Potem wraca się do miasta, gdy ziąb wieczorny zaprzecza latu, a ludzi zadużo w Warszawie.

Herminja Naglerowa.

Pamiątki przeszłości w okręgu łódzkim

Sulejów

Miasteczko Sulejów jest niewątpliwie przedhistoryczną osadą handlową przy brodzie rzecznym powstałą. W połowie wieku XII był tu znaczny targ i dochód niebylejaki wpływał do skarbu książęcego z opłat celnych na rzece.

W pobliżu miasteczka, na przeciwnym, prawym, sandomierskim brzegu Pilicy, na wyniosłości, wstęgą wód opasany, tłem leśnem ozdobiony, w słońcu przepychem kształtu i barwy murów jaśniejący — wznosi się świetny ongi i bogaty gród warowny Cystersów z kościołem i klasztorem w obszernem wnętrzu.

Okolicę tę dzierżył był w drugiej połowie wieku XII, jako dożywocie z łaski księcia, możny i wierny rycerz Racław czy Rościsław (Resceslaus) z rodu Abdanków. Po jego śmierci Kazimierz Sprawiedliwy w latach 1174—1176 osadził tu, jak syn jego Konrad w przywileju późniejszym stwierdza „fratres Cisterciensis Ordinis... de romanis partibus evocatos". Uposażenie stanowił Sulejów i 11 wsi w różnych stronach; po latach dwudziestu ustala się rozmiar nadania książęcego (Sulejów i 13 wsi). Potem, w XIII wieku, następują nowe nadania książąt, biskupów i osób prywatnych, a także akty kupna i zamiany; w połowie tego wieku klasztor posiada już oprócz Sulejowa, który jest miastem na prawie niemieckiem — 14 wsi w pobliżu, 23 w łęczyckiem, konińskiem i na Kujawach oraz 2 wsie w staszowskiem. Wreszcie pod koniec wieku przybywają jeszcze 4 wsie, a początek wieku XIV daje opatowi z ręki szczodrej Łokietka pełnię władzy w całem niebylejakiem państwie klasztornem.

Nie jest wyjaśniona rola Abdanków w sprawie tej fundacji książęcej, w sposób dla nauki mało uchwytny wiąże się z genezą klasztoru osoba Piotra Własta (pono klasztor nazywano czas niejaki Skrzynneńskim), pod znakiem zapytania stoi sprawa filjacyj tego klasztoru, — ale to, co się tu wyżej powiedziało, uchodzi za pewne. Przed siedmiu wiekami wrzała tu praca gospodarnych mnichów. Przed pierwszym najazdem Tatarów było już bogactwo, a pośrodku warowni klasztornej z ziemi i drzewa zbudowanej wznosił się kamienny kościół pod wezwaniem Najświętszej Marji Panny i świętego Tomasza Kantuareńskiego — czczonego w Anglji i Francji i kanonizowanego w roku 1173 przez papieża Aleksandra III-go, cystersa francuskiego (ta okoliczność pozwala uczonym twierdzić, że klasztor Sulejowski wywodzi się nie z Niemiec, lecz z Francji, z Morymondu). Niebawem zbudowano z wielkiej cegły ozdobne claustrum i potem w ciągu wieków przebudowywano po klęskach i rozbudowywano w czasie spokojnym tę piękną siedzibę Cystersów. Rola cywilizacyjna klasztoru zmniejszyła się i ustała w czasach nowożytnych. Klasztor korzystał ze swych dóbr doczesnych (od XVII wieku 2/3 dochodu brał tytularny opat, a tylko 1/3 rzeczywisty przeor klasztoru), bronił się przed gwałtownemi czasy, pieniał się, podejmował nieomal ciągle znamienitych przejezdnych gości — królów, nuncjuszy, biskupów, magnatów, szlachtę szlakiem z Krakowa do Piotrkowa gęsto jeżdżącą... Niekiedy, nie często, w osobie świątobliwego mnicha modlącego się w ciszy leśnej nad jasną Pilicą — podnosił się na wyżyny pierwotnego powołania. I trwał. Konfederacja Barska sprawiła w nim wielkie zniszczenie. Od tego czasu upadał szybko. W roku 1819 supresja zastała już cień dawnego porządku i ruinę wielkości. Od tego czasu jest kościół poklasztorny świątynią małej parafji, a cały gród cysterski dostojną pamiątką odległych prac cywilizacyjnych i pięknym pomnikiem sztuki.

Jedyne wejście na ten cysterski Wawel prowadzi od północy przez bramę, a raczej spodem wieży ceglanej, najpewniej w pierwszych latach XVII wieku wzniesionej — w stylu odrodzenia, obronnej, okazałej i pięknej. Przy długich krzywych linjach muru obwodowego widać rozmaite kształtem budynki gospodarskie, pochodzące z końca XVII i całego XVIII wieku; ongi biegło tędy niewątpliwie robocze koryto Pilicy, potrzebne skrzętnym mnichom przy gorzelnictwie, browarnictwie i rękodziełach. Ale dzisiaj niema śladu owych średniowiecznych urządzeń wodnych; zginęły tak doszczętnie, jak dawne drewniane śpichlerze, stajnie i wozownie, gorzelnie i browary, izby tkackie, folusze, farbiarnie i blichy... Od wschodu i zachodu sterczą dumnie dwie masywne, obronne, do krakowskich bardzo podobne baszty; ceglane, nietynkowane, chyba z zarania XVI wieku się wywodzą. Oprócz tych widać jeszcze w koronce murów trzy baszty, wzniesione z surowego kamienia współcześnie z wieżą wjazdową.

W głębi obszernego dziedzińca stoi bokiem (od wschodu ku zachodowi) kościół klasztorny z ciosu. Z zewnątrz zachowany znakomicie pomimo fatalnej restauracji w roku 1847 (szczytowe zakończenie facjat i wiązania dachów) dopiero w ostatnich latach zatuszowanej, wewnątrz czysty architektonicznie i niezwykle ozdobny — uważany jest słusznie za jeden z najpiękniejszych zabytków sztuki romańskiej w Polsce. Zbadał go i opisał przed laty prof. Łuszczkiewicz, który nie cofnął się przed koniecznym wniknięciem w dzieje klasztoru, w czem pomogły mu źródłowe notatki Juljana Bartoszewicza.

Po mozolnych rozważaniach stwierdził Łuszczkiewicz, że kościół w dzisiejszym jego zrębie i kształcie wzniesiono w zaraniu wieku XIII; poświęcił go arcybiskup Pełka w roku 1232. W lewej nawie bocznej jest furta, którą uważać można za szczęt kamiennego kościołka wcześniejszego. Szkarpy, zresztą bardzo wątłe, przystawiono najpewniej w końcu wieku XIII. Świątynia jest mała — nawet wśród polskich pocysterskich (36.75 × 14.26 mtr.). Zbudowana z pięknego szydłowieckiego piaskowca (grubość muru wynosi 0.93 metra), nawowa, o dwuch pojedyńczych kaplicach, bez absydy, bez wieży, ozdobiona zzewnątrz bardzo bogatym portalem frontowym o subtelnym ornamencie choć bez tympanonu oraz żłobkowanym gzymsem okapowym, — wyraża piękno najcenniejsze: piękno proporcyj. We wnętrzu cztery rozczłonkowane filary dają podstawę organiczną gurtom, żebrom przyściennym i krzyżowym ostrołukowym sklepieniom. Śmiała, celowa i ozdobna kompozycja wnętrza jest romańska — w logice architektonicznej i ornamencie, ale tkwi w niej mocno i dumnie nowy gotycki porządek rzeczy: ostrołuk, okna w facjatach; to właśnie świadczy o wieku świątyni, a chyba także o francuskich filjacjach klasztoru.

W ścianie kaplicy prawej zachowała się półmetrowa framuga ozdobiona gzymsem; jest to t. zw. piscina, ślad zaniechanego już w XIV wieku ceremonjału.

Piętno średniowiecza — wyraźne i niewątpliwe — widać także na ciosanych z drzewa dębowego rzeźbach, wyobrażających leżące lwy. Zabytek ten łudząco przypomina lwy kamienne wielu kościołów zachodnio-europejskich XII i XIII wieku. Nie można powiedzieć nic pewnego o ich pierwotnem w Sulejowie przeznaczeniu; mogły być ornamentem w prezbiterjum, albo częścią większej całości.

Zginęły bez śladu średniowieczne płyty grobowe, sprzęty i obrazy. Z XVII wieku pozostały dwa ołtarzyki, trzy grobowce i cenne kopje zaginionych czy zniszczonych portretów fundatorów — Kazimierza Sprawiedliwego, Leszka Białego, Konrada Mazowieckiego. Z wieku XVIII pochodzą stalle i ołtarze.

Do ściany południowej kościoła dotyka prastare claustrum. Dzisiaj jest to nieomal zupełna ruina. Niektóre jego części datują się z połowy XIII wieku. Więc krużganek dolny z wielkiej cegły, początkowo ze stropem opartym na kamiennych wspornikach, dopiero w XV wieku ostrołukiem zasklepiony. A przede wszystkiem budynek przy ramieniu wschodniem krużganka, mieszczący ongi kapitularz i zakrystję z bibljoteką na dole, a wspólny dormitarz na piętrze. Sala kapitulna (9 × 9.73 metr.), zachowała się jako tako. Sklepiona czteropolowo ostrołukiem, wspiera się na jednej kolumnie; od kolumny tej idą gurty, z których trzy wieszają się u ścian, a czwarty schodzi na filar, dzielący na pół otwór wejścia i będący podstawą środkową dwuch ostrołukowych arkad zamurowanych, ale mieszczących po dwa piękne kamienne przezrocza. Monogramy z XIII wieku, zupełnie romański ornament w kamieniu — bogaty i staranny, ślady polichromji romańskiej obok doskonalszego niż w kościele gotyku — oto dowody, że mnisi wkrótce po ukończeniu kościoła zbudowali sobie tę monumentalną siedzibę.

Z wieku XV pozostały w krużganku gotyckie szczegóły — zworniki, wsporniki, piękny orzeł jagielloński nad drzwiami do refektarza, ślady polichromji. Ale czas zgryzł to na miazgę. I zgubił się w tej ruinie porządek klasztorny — zieleń wirydarza, głuche ściany rozmównicy, zasobność kuchni i magazynów, treść rozmaita w XVI i XVII wieku licho zbudowanych refektarzy i dormitarzy...

W oddali obrasta w mchy i chwasty szczątek ruiny opackiego pałacu.

Nad wszystkiem unosi się czar niewysłowiony. Piękno przez człowieka zbudowane stoi tu cicho a dumnie nad jasną ruchliwą rzeką, na tle borów szumiących, w kraju, gdzie ongi mnisi z ciepłej Francji przybyli umieli w mróz luty radzić w kapitularzu o przezroczystych oknach, gdzie nuncjusz Gaetano marzł w niedzielę kwietną, dziwiąc się palmom tutejszym — bezlistnym rózgom, gdzie modlił się w kamiennym kościele wiodący narody ku zwycięstwu król Jagiełło, gdzie potem niszczono bezmyślnie to kamienne dobro, — dobro teraz dopiero umiejętnie ochraniane, wielkich nakładów i starań wymagające i godne.

Zygmunt Lorentz.

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

Tworzyć bibljoteki i czytelnie!

Raz po raz obchodzimy w Polsce Niepodległej rocznicę zasłużonych narodowi i jego kulturze instytucyj i raz poraz, przebiegając biografję któregokolwiek z „urodzonych w niewoli" czcigodnych jubilatów, zmuszeni jesteśmy do nawrotów w lata rozdarcia i uciemiężenia, a tem samem do mimowolnego zestawienia zeszłorocznych ozimych siewów i współczesnego jarego zagonu. Z tego powodu rocznice owe mają dla nas głębokie znaczenie samokształceniowe; pozwalają bowiem, dzięki przełomowi politycznemu, jaki przepołowił życie narodu, sięgnąć w przekroju do niedostępnych zazwyczaj, najgłębszych warstw i złoży narodowego charakteru i wydobyć stamtąd podstawowe przesłanki dla wniosków i wskazań na przyszłość. Poza tem, w chwili obecnej, jubileusze takie są najlepszą okazją do przeciwstawienia naszej powojennej tandecie ambicji i uczuć, minioną wielkopańskość oświeconych dziwactw, fantazyj i zamiłowań; pozwolą również ośmiogodzinnym spełniaczom obowiązków w naglącej dobie odbudowy własnej zagrody wywołać przed sumienia cienie tych, z których „pofajrantowej" pracy dziś żyją, — a jednostkom twórczym, wtłaczanym przez demokratyczny zapęd w martwy szablon średniej przeciętnej, przypomnieć dewizę pewnego polskiego medalu: „Sapere auso!"

Podstawową komórką całej kulturalno-społecznej działalności polskich pokoleń porozbiorowych — była książka polska. Była zaś ona w ówczesnych warunkach przedewszystkiem cegiełką muru obronnego przed obcoplemiennym zalewem i nutą kołyszącą dusze do snu o szpadzie. Była przedmiotem dumy narodowej, księgą pielgrzymstwa polskiego, eksponowaną placówką pracy oświatowej i politycznej. Z chwilą powrotu niepodległości poeta ostatecznie przestaje być wieszczem, a książka staje się poprostu tą czy inną, zależnie od swego rodowodu, treści i przeznaczenia. Jednocześnie z powrotem życia narodowego do normalnego łożyska, wróciła również i ona na swoje miejsce w codzienności zbiorowego wysiłku. W powrocie tym książka polska nietylko nie straciła na swem znaczeniu, lecz odwrotnie, zyskała; z anteuszowego bowiem dotknięcia wolnej Ojczyzny wynikła dla niej naturalna konieczność zadośćuczynienia wszelkim intelektualnym i duchowym potrzebom pełni życia narodowego.

Natomiast zdaje się jakgdyby tracić w tej nowej roli dotychczasowe, przedwojenne u społeczeństwa polskiego prawo do pietyzmu, entuzjastycznej ofiarności i rozumnej opieki. Traktuje ono dziś w swej masie sprawę książki i bibljoteki pod kątem widzenia jakby nadetatowej filantropji, której obowiązek spada obecnie na państwo. Postawa ta jaskrawy wyraz znajduje w stosunku społeczeństwa do własnych oświatowych instytucyj, stojących do niedawna, jak np. „Polska Macierz Szkolna" w b. zaborze rosyjskim, na świeczniku narodowych ambicyj, a obecnie z trudem utrzymujących się, mimo zasiłków rządowych na chudej strawie publicznego datku. Zapewne, że „Pan Tadeusz" dyskutowany na tajnym kółku samokształcenia, to co innego, niż arcydzieło literatury, wałkowane na „polskim" przez szereg godzin; zapewne, że sygnalizowany powszechnie współczesny upadek poziomu lektury, spowodowany pogonią za sensacyjnością fabuły, zagadnień i stylu, przekształca książkę w jeszcze tylko jedno źródło chwilowej dla nerwów podniety; pewnie, że dla licznych rzesz podpisujących się krzyżykiem polskich obywateli, książka jest dotąd przedmiotem bezużytecznym, a więc przedmiotem zbytku; zapewne — że płacimy podatki! Lecz i jest również niezbitą pewnością, że żyjemy w XX wieku, wieku dążenia do największego uintensywnienia życia indywidualnego i najdalszego wydoskonalenia racjonalizacji wysiłku.

Ameryka, ten kraj klasyczny dla spiracji współczesności już w 1860 (obok Anglji) oceniła bezwzględną wartość książki, stwarzając dla swoich bibljotek drogą szczególnej ustawy stałe podstawy prawne i finansowe. Prywatna zaś inicjatywa społeczeństwa amerykańskiego przechodzi w dziedzinie fundacyj bibljotecznych wszelkie europejskie granice. Cytowany pospolicie, jako przykład, przemysłowy potentat Carnegie sam ufundował około 3000 bibljotek. W St. Zjednoczonych niema obecnie prawie miasta, nie posiadającego księgozbioru z zapisu któregoś ze swych obywateli. Dochodząc z reguły ciężką drogą samokształcenia, pracy i przedsiębiorczości na dolarowych dynastów, składają bogacze amerykańscy na schyłku życia zapisy bibljotekom, jak średniowieczni feodali klasztorom, w odruchu wdzięczności i akcje ekspiacji za tyloletni grzeszny żywot w służbie własnej korzyści.

W Europie kontynentalnej dopiero po wielkiej wojnie, w związku z szeroką demokratyzacją społeczeństw i olbrzymiejącą potrzebą oświaty pozaszkolnej, sprawa bibljoteki dojrzała w świadomości ogólnej do konieczności ustawowego jej rozwiązania. Wprowadzają ustawy bibljoteczne: Czechosłowacja, Belgja, Estonja, Bułgarja, Danja, projektuje Finlandja. Jedne z państw stwarzają sobie dopiero osnowę sieci bibljotecznej, drugie nadbudowują na już istniejącem z inicjatywy społecznej fundamencie. Wprowadzane ustawy są dwojakiego typu: fakultatywne, t. j. uzależniające założenie bibljoteki od procentowego wypowiedzenia się „za" członków danej gminy (wzór angielski) — i imperatywne, wprowadzające w tej dziedzinie przymus bezwzględny. Wzorem tego typu jest ustawa czechosłowacka z 1919 roku, która dokonała, dzięki swej sprężystości, prawdziwej rewolucji w dziedzinie przyrostu czytelnictwa i rozwoju książki: jak świadczą dane statystyczne dziś na 13.5 miljonów ludności czeskosłowackiej co 13-ty obywatel korzysta z książki, a na 850 istnieje jedna bibljoteka.

W Polsce po upadku pierwszego projektu ustawy bibljotecznej w 1921 roku wysuwa inicjatywa rządowa obecnie drugi, wzorowany naogół na ustawie czeskosłowackiej i wprowadzający dla gmin posiadających ponad 2000 mieszkańców przymusowe zakładanie bibljotek stałych, bezpłatnych, utrzymywanych z ogólnych sum budżetowych danej gminy, proporcjonalnych do jej stanu finansowego. Wszakże już obecnie, przed wejściem na forum sejmowe projekt ów napotyka na wyraźny opór i niechęć krótkowzrocznego sknerstwa zainteresowanych materjalnie czynników. Zapewne — *tylko półtora wieku* minęło od czasu, gdy garstka fanatyków dobra publicznego wywalczać, wydzierać i wyżebrywać musiała fundusze, należne Komisji Edukacji Narodowej, której istnienie i prace uwarunkowały narodowi kulturalne przetrwanie niewoli. *Nic się też nie zmieniło:* z tem samem sobie pańskiem sobkostwem traktuje dzisiaj sprawy narodowego oświecenia ten sam pan na zagrodzie, z tą chyba różnicą, że bez indygienatu. A dzieje się to w Polsce, której szkoły rok rocznie wprowadzają w życie tysiączne rzesze nowych konsumentów książki — i która *niema czem ich rozbudzonej i głodnej myśli zaspokoić.* Istniejące bowiem w znikomej ilości w stosunku do zaludnienia Rzeczypospolitej, bibljoteki publiczne, ogólnokształcące, jako instytucje bądź prywatne, bądź społeczne, są pozbawione stałych podstaw materjalnych i nie mogą dopełniać najważniejszego swego warunku — bezpłatności. Mieszcząc się przeważnie w wynajętych, ciasnych lokalach, są z reguły tylko wypożyczalniami, bez czytelni, czy to podręcznej, czy czasopism, czy dziecinnej, których istnienie przesądza o wychowawczym wpływie bibljoteki na środowisko. Nieaktualny dobór książek i kompletny brak statystyki czytelnictwa dopełniają tego smutnego obrazu.

Społeczeństwo polskie nie doszło jeszcze najwidoczniej do współczesnego na książkę poglądu—jako na pierwsze narzędzie w walce o byt i dobrobyt jednostki i narodu. Jeżeli więc nie chce nadal pozostawać w tyle za młodszymi nawet od siebie sąsiadami, *to musi się zdobyć na zaufanie do inicjatywy rządowej.*

O tem zaś, że płacąc podatki, nie spełniamy jednak wszystkich obowiązków względem własnego państwa, niech je pouczają rocznice „Ossolineum" i inne. Oto w tym roku upływa siedemdziesięciolecie pracy „Tow. Bibljotek Powszechnych w Warszawie", w obecnym kształcie ukonstytuowanego w 1922 r., ale korzeniami swemi sięgającego połowy zeszłego stulecia, powstało bowiem ze zlania się „Tow. Czytelni m. Warszawy", b. bibljoteki Kolei Warsz. Wied. i 16 bibljotek Wydz. Czytelń Warsz. Tow. Dobroczynności. Te ostatnie założone w 1858 roku z inicjatywy księcia J. T. Lubomirskiego i Jana Gautier i prowadzone w dobie największego ucisku rosyjskiego *były pierwszemi w Polsce społecznemi placówkami bibljotecznemi.* Maskując się ze względów politycznych firmą jedynie podówczas możliwego do zalegalizowania polskiego Tow. Dobroczynności, grupowały od początku swego istnienia w ideowej współpracy najlepsze jednostki kolejnych pokoleń. Pracowali tam A. Pawiński, Rembowski, Krzemiński, Br. Chlebowski, Pług-Pietkiewicz, Prószyński-Płomyk, Kraszewski i wiele innych. Obecnie jest „Tow. Bibl. Powsz." najpoważniejszą w stolicy instytucją bibljoteczną (24 bibljotek) z zakresu bibljotek publicznych ogólnokształcących i — jak wszystkie tego rodzaju instytucje — walczy bohatersko z ciągłym brakiem funduszów.

Instytucji tej należy się słusznie, śród innych, może bardziej karmazynowych jubilatów, poczesne miejsce. Narówni bowiem z nimi uświadamia własnym przykładem rodzimej lekkomyślnej współczesności, że z „odrobienia" pracy i „spędzania" wolnych godzin ma człowiek i naród tylko kawałek chleba na kredyt, — a z tego, co w umiłowanym trudzie i szlachetnej ambicji dorzucą w naddatku entuzjazmu twórcze ręce — z tego żyją i rosną pokolenia!

Z. Erdman-Jabłońska.

WARSKI i BARSKI

(NOWELA).

Literat Warski w swem samotnem kawalerskiem mieszkaniu kończył właśnie nowelę, gdy w przedpokoju rozległ się nerwowo dzwonek.

Wstał i poszedł otworzyć.

Wszedł, w podeszłym już wieku, przyzwoicie ubrany mężczyzna, z widocznem zgnębieniem na twarzy, wyglądający równie dobrze na właściciela kamienicy, jak i na solidnego kupca czy aptekarza.

— Czy zastałem pana Warskiego?

— Ja nim jestem. Czem mogę panu służyć?

— Chciałbym pomówić z panem na osobności.

— Proszę pana.

Wprowadził go do gabinetu.

Nieznajomy usiadł ciężko w fotelu, opuścił głowę i utonął w głębokiej zadumie. Po dłuższej chwili uniósł ją i rzekł:

— Jestem Barski. Nazwisko moje wyjaśnia panu cel mego przybycia. Jesteś pan kochankiem mej żony — powiedziała mi to wczoraj. Przyszedłem zabić pana.

I, jakkolwiek mówił to zgoła bez namiętności, wyjął jednocześnie olbrzymi rewolwer z kieszeni i wsparł kolbę na kolanie swej nogi — lufą do góry.

Warski zdetonował się trochę. Spuścił głowę, obserwując z pod oka przybysza, który znów zapadł w nieme odrętwienie. Na widok więc ten odzyskał całkiem swobodę i rzekł już prawie wesoło:

— Ha! Owszem — jeżeli już takie pańskie postanowienie, żeby się splamić krwią moją. Ale możebyśmy przedtem pomówili trochę.

— Co tu mówić? — rzekł smutno Barski. Uwiodłeś pan moją żonę.

— O! co to — to nie! — zareplikował żywo Warski. — To pańska żona raczej mnie uwiodła. Jeżeli kto mógłby mieć pretensję, to chyba ja do pana, że posiada pan żonę, która ludzi uwodzi i spokój im zakłóca!

— Jakże to? Kochasz ją pan przecie?

— A któż to panu powiedział takie głupstwo! Posłuchaj pan!... Ale pierwej pozwoli pan — rzekł, zbliżając się już śmiało do Barskiego — że go rozbroję. Nie obawiam się, żeby pan mnie zabił z umysłu, ale obawiam się, żeby pan nie wystrzelił przez nieostrożność i nie trafił we mnie, nabawiając sobie kłopotu — gdyż widzę, że nieobyty pan z bronią.

Barski, jak jagnię, dał wyjąć sobie z ręki narzędzie śmierci.

— A cóż to za przedpotopowy kaliber! — dziwił się Warski, oglądając rewolwer.

— Jeszcze po dziadku, — wtrącił ubocznie Barski.

— Niechaj więc sobie leży ta machina dziadowska tymczasem tu na biurku! — rzekł Warski, składając broń. — A teraz posłuchaj pan! Będę szczery, gdyż ujął mnie pan odrazu swą osobą. Tak jest! Jestem od trzech miesięcy kochankiem pańskiej żony, i to jest mem prawdziwem nieszczęściem! Winien jestem, oczywiście, żem jej uległ, ale, mój drogi panie, kto z nas znowu oprze się tak łatwo kobiecie, gdy ona się na coś uweźmie! Powinienem był, oczywiście, być mniej delikatnym i względnym — i odrazu, nawet rubasznie odsadzić ją od siebie, zanim do czego przyszło. Nie potrafiłem tego — zrobiło się głupstwo i trzeba było ponosić tego następstwa... jako pokutę dobrowolną za grzech. A wszystko przez tę delikatność, panie, którą kobieta mniej subtelna, bierze za nieśmiałość mężczyzny i wyzyskują ją fatalnie! Nigdy nie czułem do pańskiej żony ani miłości, ani żadnego fizycznego pociągu.. Czy pan sądzi, że to nie jest ciężką pańszczyzną, godną najwyższego pożałowania, obcowanie w bliższym stosunku z kobietą, której się nie znosi i której się jest ofiarą? Ileż to razy chciałem powiedzieć jej prosto w oczy: „Odczep się! Idź do stu djabłów!" I zawsze względy estetyczne, względy delikatności roztapiały te słowa w wymuszonym tylko uśmiechu. Nie znałem przytem pana — i to niechaj również mnie usprawiedliwia. Gdybym był znał pana, gdybym widział, jakim pan jest, tak jak go widzę teraz, o byłoby to dla sumienia mego dostateczną rękojmią — żebym się oparł pokusie. Ale pana nie znałem. Zostałem poprostu zarekwirowany przez pańską · żonę, i oto od trzech miesięcy jestem nieszczęśliwszy od pana. Teraz więc wdzięczny tylko będę tej okoliczności poznania pana, która kres może nareszcie położy mej niedoli. Ale jakżeż to żona pańska powiedziała panu, że jest moją kochanką?

— Powiedziała mi to w złości — zwierzał się potulnie Barski — żeby mi dokuczyć. „Wiedz — mówi — że jestem kochanką Warskiego". Jeżeli nie wierzysz, to idź go zapytać! Mogę ci dać jego adres". I tu powiedziała mi adres pana.

— I pan w rozpaczy chciałeś mnie zabić? — zapytał współczująco Warski.

— Nie, panie! — odrzekł szczerze Barski. — Tegobym nie potrafił zrobić. Ale myślałem, że pan reagując na mą pogróżkę, zastrzeli mnie w obronie swego życia i uwolni mnie tym sposobem od tej kobiety. Rewolwer mój — nienabity.

Warskiemu podpłynął do gardła płat czułości. Tyle nieszczęścia i tyle szlachetności uczuć! Wzruszony, przysunął się z krzesłem do fotelu, na którym siedział Barski i, obejmując go zlekka ramieniem, tak mówił ciszej i czulej:

— Poczciwcze kochany! Nie jestem godzien tak wzniosłych uczuć pańskich, ale mimo to pozwól mi pan wyrazić całe me współczucie ludzkie i całą cześć, jaką dla pana oscby zachowuję! Stało się... Ale przysięgam panu uroczyście, że odtąd stosunek mój z pańską żoną zostaje zerwany zupełnie. Chociażby mi tu miała wysadzić drzwi — nie poddam się przez wzgląd na pana, przez wzgląd na me uczucia dla pana. Pan zaś, drogi panie, nie martw się tak srodze! Trudno! Jesteśmy wszyscy rogaczami urodzonymi! Żona pańska zwierzała mi się, że przede mną miała już trzech innych... Zanim więc ją poznałem, byłem już niejako rogaczem jej razem z panem — jak i będę nim nadal razem z panem. Rogacz — nie brzydkie stworzenie, rogacz, — szlachetne stworzenie, niesłusznie upośledzone! Lepsze, bądź co bądź, tysiąckrotnie od świni, której okazy dziś tak częste wśród ludzi. Pan nią nie jesteś, i ja nią być nie pragnę! Uszy więc do góry! Poco się mamy martwić? Niech ten się drapie, kto ma liszaj! — jak mówi Szekspirowski Hamlet. Niech ten się martwi, kto źle robi, kto cześć swą kala... Niech martwi się państwa żona — pocóż pan? Wogóle proszę kochanego pana — mówił już z całą poufnością — za wiele wkładamy uczuć w kobietę, za wielką robimy z niej sprawę w życiu! Mój Boże! Jest tyle innych — zacniejszych spraw. Jest — jak dla mnie — sztuka, jest przemysł, handel — dobrobyt i przyszłość kraju! O, w to wkładajmy nasze życie i cele! Kobiety nie utrzymamy, gdy natura ją ciągnie do lasu! Oprzyjmy się na sobie — na naszej własnej godności! A teraz, drogi panie, — rzekł raźno, powstając — chodźmy i wypijmy razem butelkę wina — na ten płci naszej frasunek, na wspólną naszą niedolę! Masz pan we mnie od dziś wiernego przyjaciela, a mniemam, że i ja rychło na przyjaźń pańską zasłużę. Uświęćmy więc ten dzień, w którym, tracąc kobietę, znajdujemy zaprawdę więcej — bo szczerą, niekłamaną — rzetelną przyjaźń męską!

Barski powstał, otarł łzy z oczu, otworzył ramiona i, ujmując w nie poczciwie Warskiego, ucałował go w oba policzki.

Józef Jankowski.

Handele! Handele!..

Co pewien czas ktoś, pamiętający dawne czasy, upuszcza łzę rozczulenia nad zanikającemi okrzykami z ulicy. Każde miasto ma swoją poezję nawoływań, uroczą zwłaszcza we wspomnieniu. Obłoczek sentymentalizmu otacza w pamięci poranny wyśpiew weneckiego śmieciarza-tenora, albo ochrypły, rzężący ryk starca, zziajanego i czerwonego, który obwołuje il Popolo d'Italia, il Corriere della Sera, il Resto del Carlino i tyle innych gazet, od wczesnego ranka do najpóźniejszej nocy... albo znów tragicznie zrozpaczone niewiadomo dlaczego — wezwanie przekupki paryskiej: ah, les poulets, les beaux poulets!

Szczątki sentymentu chowamy jeszcze dla rodzimego piaskarza, druciarczyka lub tam wreszcie preclarza ode Lwowa. Ale już nie mamy go zupełnie dla całego plemienia handlarzy ulicznych nowszej daty, a ci nie zamierają, owszem płodzą się, jak pluskwy. Za ćwierć wieku dopiero zaczniemy się rozczulać nad przebrzmiałemi lusterkami na dwie strony, nad rozkładami jazdy, szelkami, kalafiorami, nad grzebykami „za jedne pięćdziesiąt groszy, co w sklepie dwa złote", i płakać będziemy wspomnieniem nad prawdziwemi katańskiemi pomarańczami, cztery za złoty, cztery za złoty...

Przypuśćmy, że losy rzucą nas w inny kraj, lub wręcz na inną półkulę, jakże to będziemy tam rozpamiętywać uroki, naprzykład, letniska pod Warszawą, to bujne i gwarne życie Wschodu, które tu wre i kipi. Odkąd lato zaświta, zaczyna się wędrówka nieprzeliczonych mas ludności miejscowej i napływowej. W tumanie piasku, brudni, spoceni, objuczeni tobołami w nigdy nieprane płachty owiniętemi, handlarze idą, idą, niby przeklęci wiecznością tułaczki.

— Kalafiory, szpinak, groszek, marchewka!

— Śmietana, masło, śmietana!

— Kurczaki, kurczaki!

— Gziebiń gięsty, ziadki, różny ciapki i szatki na głowy!

— Jajka, paniusiu, jajka!

— Bombonierki, koszyczki, do wyboru! rozmaitego koloru!

— Lutuje, reperuje, blacharz! Lutuje, reperuje!

— Bielizny damski, trykoty kąpiełowy, piękne ciapki jedwabny, reformów podspodnich, chusteczki do nosa, do głowy!

— Robota dla sziewca!

— Jagody, poziomki, truskawki ładne!

— Zabawki dżeczynny, zabawki!

— Powieści, romanse, nowele, bajki dla dzieci!

Dom, ogród, oplatane wciąż i wciąż pasmem krzyków. I to nie wystarcza: handel wciska się do wnętrza mieszkań. Od wczesnego rana chlapią po schodach brudne, bose nogi przekupek. Poprzedzona kwaśną wonią potu, jełczejącego masła, i szmat, moknących w śmietanie, pcha się do pokoju wiedźma z propozycjami:

— Nie trzeba czego paniusieczku?

Zaledwie odeszła, wtyka się kędzierzawa głowa innego typu i zapachu, pytając z poufnym śmiechem:

— Kefir?

— Kto taki?! (Trudno się tak odrazu zorjentować!)

A ten już w pokoju.

— Można służyć z kefirem?

I w ślad nowy sunie, obwieszony butami.

— Robota dla sziewca?

— Znowu!

— To nie ja, to ten drugi — woła, wycofując się ostrożnie.

Pod oknami rozbrzmiewa dalszy ciąg symfonji.

— Eee... lody, lody! Eee... lody siemiejetankowe, lody!

— Ciaaastkazcukierniadamkiewiczaciaaaslkaaa!

Kiedyś, w dalekiej przyszłości, to wszystko będzie urocze. Ta, jak mówi Słowacki „teraźniejsza bieda, która się za lat sto — poezją wyda". Ale tymczasem...

Chcąc umknąć od nadmiaru wrażeń szuka się samotności nad rzeką. Gdzie była do niedawna dzika pustka, szeregują się odrutowane i oparkanione „plaże", na każdej budka z wodą sodową i przysmakami, a wejście oczywiście „za biletami". Rój przepięknych kostjumów pluszcze się głośno, ale na sucho przy brzegu rzeki, która na głębi sięga prawie do kolan. Półgołe piękności fotografują się w bohaterskich pozach. No uboczu poważniejszy obywatel zdjął czewików i dokumentnie myje nogi, korzystając z gorącego dnia, bo a nuż znowu rok minie, zanim się człowiek odważy?

Dopiero w pobliżu ujścia, gdzie jest i większa głąb i prąd zdradziecki, ustają kwiki, flirty i pluski, lody, pierniki i czekolady. Aż się człowiek dziwi, że jeszcze pachnie macierzanka i praży stopy niedeptany piasek. Słońce tu świeci za darmo, a nikt nie ma pretensji, że zapłacił taki ciężki piniądz, i co on z tego ma?

T. Brudzewski.

Watteau

Antoine Watteau urodził się w r. 1684, a już w r. 1721 zmarł na suchoty. W około 800 obrazkach pozostawił nam w spuściźnie wspomnienie owego świata dziecinnego a dojrzałego, rozbawionego a zmęczonego: epoki rokoko. Pozostawił je tak żywem, barwnem i bliskiem, że w czasach tych niepodobna myśleć, nie wspominając o nim, o mistrzu, który swoje nazwisko związał z całą epoką tak ściśle, jak nikt inny przed nim ani po nim, o mistrzu, który — chociaż epoki tej nie stworzył — jednak stał się nią. Rokoko i Watteau to dzisiaj dwa pojęcia, z których jedno doskonale zastępuje drugie.

Bo też niema chyba artysty, któremu udałoby się w sposób tak skończony uchwycić w całym blasku i błyskotliwości tętniące życie i utrwalić je w martwych kreskach. Ludzie rokoka duchem jeszcze odleglejsi od nas niż czasem, zaklęci w farby śpią snem czarodziejskim i nieśmiertelnym i są jakby dobrymi naszymi znajomymi i zaufanymi.

Usiłowano często psychologicznie objaśnić ten dziwny i potężny talent Watteau, wskazując na to, że był w Paryżu obcym i proletarjuszem. Można bowiem nieraz obserwować, że obcy łatwiej i głębiej w swej sztuce uwypuklają charakterystyczne cechy swojej drugiej ojczyzny niż artyści miejscowi. Że wymienimy dla przykładu Nestroya i Girardiego, dwuch najprawdziwszych przedstawicieli wiedeńszczyzny — a jednak ani jeden ani drugi rodowitymi wiedeńczykami nie byli. Watteau był synem ubogiego cieśli z prowincji. Okoliczność ta niewątpliwie zaostrzyła jego spojrzenie na blask, powab i narkotyczne piękno ówczesnego Paryża. Wiadomo przecież, że najpiękniejsze opisy przyrody nie wyszły z pod pióra chłopów ani obywateli ziemskich, lecz tworzyli je ludzie z miasta i kawiarniani bywalcy, tak samo jak nigdy prawie nie był Don Juanem żaden z poetów, opiewających w najtkliwszych rymach piękno i czar miłości.

Watteau był także zakochany i w dodatku nieszczęśliwie, był więc podwójnie zakochany w tym świecie niefrasobliwego wdzięku i użycia, w chłodnej łagodnej, aromatycznej i przesłonecznionej atmosferze szczytów, w której owe uprzywilejowane postacie grały swoje role w boskiej komedji życia. Wiedział, że nie może być równouprawnionym uczestnikiem tego barwnego korowodu, lecz tylko kronikarzem i obserwatorem, stał się przeto niezrównanym malarzem wdzięku i piękna, na które patrzał z boku.

Watteau fizycznie i moralnie należał do wydziedziczonych: chorowity i brzydki, słaby i niepozorny, niezgrabny i melancholik. Jest jednak rzeczą dziwną, chociaż nie jeden raz stwierdzoną, że fizyczne i duchowe niedomagania stają się niekiedy źródłem nadzwyczajnych zdolności. Attyla, Karol Wielki, Napoleon i Fryderyk Wielki byli ludźmi małego wzrostu, Byron był kulawy. Demostenes jąkał się, Kant był ułomny, Homer ślepy a Beethoven głuchy. Z podobnej fizycznej ułomności wyrósł talent Watteau i zrodziły się jego barwne cuda. Nie mógł marzyć o tem, że posiądzie gracje, na które patrzał, nie pozostało mu zatem nic innego jak je rysować. W swoich dziełach sztuki starał się powetować swoją ułomność i uczynił to z nadwyżką. Nieuleczalnie chory, pełen jest radości życia i pogody, a stojąc już nad grobem, jak dziecko cieszy się życiem i uwielbia je. Gdy choroba wycieńcza jego ciało, głosi radosną naukę użycia. Pełen był radosnego i różowego optymizmu przez całe życie i zachował go do ostatniego tchnienia.

Watteau był przeto dokładnem odbiciem swojej epoki, ponieważ w całem swojem życiu i w całej swojej osobie był jej uosobionym symbolem. Był umierającym, a jego całe życie i cała twórczość była euforją suchotnika. A rokoko to także była epoka umierająca, a cała jej radość życia także niczem innem nie była, jak tylko zmysłowością suchotnika i ostatniem pragnieniem oszukania śmierci, chociażby o jeden dzień tylko. Rumieńce na jej policzkach, to sztuczny róż albo wypiek gorączkowy. Rokoko to agonja baroku, jego zmierzch. Zmierzch był też najulubieńszą godziną dnia dla Watteau i najchętniej ją malował. Kochał i umierał — takim był Watteau i takiem było rokoko.

E. Fr.

KSIĄŻKI

TANIE WYDAWNICTWO DZIEŁ KRASZEWSKIEGO.

Wśród powodzi t. zw. „tanich" i „groszowych" wydawnictw nareszcie rzecz wartościowa: Znana księgarnia wydawnicza M. Arcta w Warszawie przystąpiła do wydania pełnego zbioru powieści historycznych J. I. Kraszewskiego. Cały zbiór obejmować będzie 80 tomów, przyczem kwartalnie ukazywać się będzie po 10 tomów. Cena prenumeraty kwartalnej wynosi 10 złotych, czyli po 80 groszy za tom. Gdy się zważy, że każdy tom obejmuje po 140 stron bitego druku, cena jest naprawdę tak niska, że wytrzymuje konkurencję nawet z wydawnictwami „darmowemi", które w rezultacie jednak bardzo drogo kosztują, gdyż używają podłego grubego papieru i rozbijają druk.

Zbiór rozpoczęto od „Starej Baśni", która wydana została w trzech tomach. Wydane zostały te tomiki niezwykle starannie. Każdy ma kolorową okładkę z artystycznym rysunkiem, a drukowane są na papierze bezdrzewnym, jakiego używa się do druku droższych wydawnictw.

Wydawnictwo to przychodzi w porę. Obejmuje ono całość dziejów Polski, to też z tych tanich tomików niezliczone rzesze uczyć się będą historji Polski, która, zwłaszcza obecnie, gdy budujemy gmach nowej Rzeczypospolitej posiada tak olbrzymie znaczenie wychowawcze.

Na wydawnictwo to powinny zwrócić uwagę przedewszystkiem władze szkolne. Nie może być w Polsce ani jednej bibljoteki szkolnej, która nie posiadałaby tego kompletu. Również samorządy, utrzymujące publiczne wypożyczalnie książek dla młodzieży i starszych powinny je uzupełnić tem nowem wydaniem powieści historycznych Kraszewskiego. Wydanie tego zbioru jest w pełnem tego słowa znaczeniu obywatelskim czynem księgarni Arcta.

Docent uniwersytetu lwowskiego Dr. Zygmunt Szweykowski zaopatrzył cykl wstępem, w którym charakteryzuje twórczość Kraszewskiego. W wstępie tym pisze m. in.:

Kraszewski — jak wiadomo powszechnie — to najpopularniejszy powieściopisarz XIX w. w Polsce: chyba jeden tylko Sienkiewicz uzyskał później równy rozgłos i równą poczytność, jak autor „Starej baśni". Popularność tę zdobył sobie Kraszewski nieposzlakowaną uczciwością w traktowaniu życia, wybitnym zmysłem wnikania w aktualne zagadnienia które nurtowały społeczeństwem, wyczuwania jego dążeń, przypływów i odpływów ruchu zbiorowego, wreszcie typem swego umysłu, który cofał się przed krańcowością, rzadko kiedy przekraczając ramy, zakreślone psychiką zbiorową. Ale ta sama popularność stała się obecnie poniekąd powodem niechęci pewnej do dzieł Kraszewskiego: utarło się mniemanie, iż Kraszewski mógł być bliski tylko współczesnym sobie, że dziś nie zdoła nikogo pociągnąć i zainteresować, że rola jego, związana z chwilą, skończyła się bezpowrotnie. Zdanie to słuszne w stosunku do wielu utworów, jest błędne w zastosowaniu do całości produkcji autorskiej Kraszewskiego. Zapomina się, iż mówiąc o twórcy „Brühla", nietylko mamy do czynienia z człowiekiem, który przez 50 lat pełnił służbę obywatelską, nietylko z jednostką bliską bardzo pewnej epoce (bo to rzeczywiście nie wyrokuje jeszcze o poczytności w chwili obecnej) — lecz także z niebyle jakim artystą, i że ten wzgląd właśnie może znów Kraszewskiego zbliżyć do nas.

Najwyżej niewątpliwie talent Kraszewskiego ujawnia się w powieściach historycznych. Najpopularniejszy dotychczas cykl tych utworów, cykl, obejmujący całość dziejów Polski, po dokonaniu zamiany utworów słabszych na lepsze, będzie odpowiadał swemu zadaniu poprzedniemu, t. j. przedstawi najważniejsze momenty dziejów naszych, a jednocześnie artystyczna jego wartość spotęguje się niepomiernie: odpowiedni wybór powieści przytem uwzględnia różnorodną skalę talentu Kraszewskiego, umiejętnie dobierając rozmaite typy romansu, i sprawia, że cykl wspomniany jest lekturą nietylko pouczającą, lecz i ciekawą.

Wydawnictwo, oparłszy się na takiej nowej zasadzie, będzie z pewnością mogło liczyć na poparcie społeczeństwa.

O DZIECIACH NIE DLA DZIECI.

Zuzanna Rabska — O dzieciach nie dla dzieci — Warszawa 1928. Towarzystwo wydawnicze „Bluszcz".

Tomik nowel o dzieciach, ale nie dla dzieci. Całość posiada dużą wartość wychowawczą jako swego rodzaju podręcznik do psychologji dziecka.

FELJETON ŁOWIECKI.

Na progu myśliwskiego sezonu

Z dniem 10/VII rozpoczął się nowy sezon łowiecki polowaniem na kaczki i na ptactwo błotne.

Pierwszy raz rozpoczyna się ów sezon przy nowem prawie łowieckiem, które racjonalnie przesunęło dzień rozpoczęcia łowów, celem ochrony nielotnych kaczek.

Polowanie na kaczki (obok polowania na kuropatwy i zające) należy do tych łowów, które uprawiają najszersze sfery myśliwskie w Polsce. Sądzę więc, że warto na tem miejscu rozpatrzeć poszczególne rodzaje polowań letnich na kaczki oraz zanotować pewne wskazówki praktyczne, związane z temi polowaniami.

O ile się posiada dobrego psa myśliwskiego, umiejącego „bobrować" za kaczkami, nie lękającego się wody i aportującego z niej zwierzynę, wówczas najmilszem polowaniem będzie wydeptywanie błot i bagienek w towarzystwie psa i strzelanie porywającego się ptactwa.

Jeśli natomiast brak nam odpowiedniego psa, wówczas najlepsze wyniki otrzymamy polując z naganką. Liczebność jej zależy od wielkości opolowywanego terenu.

Niezmiernie ważną rzeczą podczas łowów błotnych jest sprawa odpowiednio lekkiego ubrania, a zwłaszcza sprawa obuwia. Buty gumowe są zbyt chłodne w dnie zimne, zbyt gorące i odparzające nogi w dnie ciepłe, zbyt łatwo wreszcie ulegające przedziurawieniu, co je pozbawia wszelkiej wartości. Chodzenie boso powinno być zaniechane raz na zawsze tak ze względu na pijawki, jako też i na świerzbę wodną, którą zarażona jest wielka ilość leśnych błot i bagien. Do wysokich butów juchtowych woda zazwyczaj nalewa się górą i zostaje w nich przez cały czas polowania. Najpraktyczniejszem obuwiem na błotne łowy są, zdaniem mojem, łapcie poleskie z łyka lub z dobrze przetłuszczonej skóry, włożone na grube pończochy; dopełnia tego stroju kostjum skautowski lekki i wygodny do strzału. Zamiast pończoch można wkładać nieprzemakalne „woodery", a na nie jakiekolwiek łapcie lub półbuciki. W takim stroju nie zziębniemy w wodzie w najzimniejszy dzień i nie zmęczymy się i nie zgrzejemy — w najgorętszy.

Z amunicji używać najlepiej „Pociski" Nr. 5 dobre i na kaczki i na bekasy. Możemy być dumni z naszej całkowicie w kraju wykonanej amunicji łowieckiej, która doskonaląc się z każdym rokiem, doszła obecnie do poziomu nabojów zagranicznych, przewyższywszy je pod wieloma względami.

Co do broni — na kaczki nadają się wszystkie systemy i wszystkie kalibry, byle z nich można było szybko strzelać, byle biły silnie.

Ranna kaczka zazwyczaj ginie i najlepszy nawet pies nie jest w stanie wyciągnąć z wody wszystkich postrzałków.

Najdonioślejszą sprawą przy polowaniach kaczych jest spokojne, uważne i ostrożne strzelanie, gdyż na tych właśnie polowaniach mamy do czynienia z największa ilością wypadków. Strzelać należy do kaczek wyłącznie w locie: w ten sposób unikamy niebezpiecznych niskich strzałów po wodzie groźnych dla psa, dla naganiaczy i dla towarzyszów-myśliwych.

Rozstawiający myśliwych winien ich dokładnie obznajmić ze stanowiskami sąsiadów, aby uniknąć groźnych strzałów dla otoczenia i wskazać pole obstrzału ograniczając je najlepiej łatwo widocznemi w terenie przedmiotami np. jakimś drzewem lub krzewem.

Pod jesień zaczyna się polowanie na kaczki, na przelotach i na zlotach rannych i wieczornych. Jest ono pod względem strzałów ciekawe i piękniejsze od polowania z psem. Wyniki mogą być nieraz bardzo duże.

Wrogiem myśliwego, polującego na kaczki, są komary. Odpędza je olejek gwoździkowy. Nie zapominajmy nigdy o nim, idąc zwłaszcza na wieczorne polowanie.

Komary mogą obrzydzić najżarliwszemu zwolennikowi św. Huberta umiłowane przezeń myślistwo. Pokąsany, opuchnięty do niepoznania klnie szaloną swoją namiętność i odrzeka się od niej raz na zawsze. Ale skoro zdarzy się nowa sposobność — zapomina o udręczeniach, jedzie i znów poi swą „farbą" krwiożercze insekty.

Sezon obecny zapowiada się mimo zimnej wiosny dość obiecująco, choć jest nieco spóźniony. Myśliwi wyruszą na łowy pełni nadziei. Św. Hubertowi cześć!

Juljan Eismond.

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE i KRONIKA

Bilans handlowy a polityka celna

Rozbieżności

Zagadnienie bierności naszego bilansu handlowego, lubo wolne obecnie od posmaku alarmu, jaki miewało dawniej, zajęło nanowo miejsce centralne wśród wszystkich rozważań gospodarczych doby obecnej. Dość spojrzeć na tytuły artykułów wstępnych w przodujących naszych organach gospodarczych, by przekonać się o tem, jak dalece zagadnienie to zaprząta umysły. Prace, prowadzone w Ministerstwie Przemysłu i Handlu nad ustaleniem programu rozwoju naszego wywozu, oraz konferencja, powołana w tym samym przedmiocie przez Ministerstwo Rolnictwa, świadczą z drugiej strony o stopniu zainteresowania się rządu tem zagadnieniem, (ale jednocześnie są smutnym dowodem nieskoordynowania akcji i marnotrawienia pracy, prowadzonej jednocześnie w dwuch miejscach). Nie należy wątpić, że zarówno wymiana zdań w prasie ekonomicznej, jak i rozważania w urzędowych miejscach fachowych doprowadzą do urobienia się jakiejś rozumnej, celowej i świadomej swych zadań polityki gospodarczej wogóle, a metod postępowania w szczególności. Do ufności tej uprawnia fakt podjęcia zarówno dyskusji publicznej, jak i prac przygotowawczych w porę. Niema bowiem wątpliwości, że wyniki miesięczne, usprawiedliwiające jaknajpoważniejsze zastanowienie się i usiłowania pogłębienia zagadnienia i środków zaradczych, do jakiegokolwiek większego zaniepokojenia ani na dziś ani na jutro powodu nie dają. Nie pozwalają jednak również na zbyt ospałe i powolne postępowanie. Pod tym względem w zupełności podzielić należy opinję naczelnego publicysty „Przeglądu Gospodarczego", przypominającego, że „sytuacja istniejąca zdaje się nie dozwalać na zbyt akademickie jej traktowanie", bo zdaniem jego niedaleką być może chwila, w której czyny być mogą pilniejsze od najpiękniejszych nawet teoryj.

Ten sam publicysta powiada w innem miejscu swego artykułu: „Dziś, skoro w sprawie waloryzacji ceł decyzja już zapadła, domagać się trzeba od rządu tylko, żeby dobrowolnie, zbyt pochopnie nie rezygnował z ochrony, w części z pewnością niedostatecznej, jaką zaledwie niedawno ustalił dla wytwórczości krajowej".

Owóż ta rada wydaje nam się znacznie spóźnioną. Na takie rady był czas przed zawarciem nowej umowy taryfowej z Czechosłowacją. Po jej zawarciu można już tylko bić się w piersi o to, że nie występowano z ostrzeżeniami zawczasu. A zarzut ten uczynić należy całej prasie polskiej, zarówno fachowej, jak dziennej, która z dziwną obojętnością przyglądała się rokowaniom, poprzestając tylko na notyfikowaniu poszczególnych ich etapów i nie usiłując, lub przynajmniej bardzo niedostatecznie tylko, oddziałać na ich przebieg i wynik. Pod tym względem prasa czeska i austrjacka okazały się bez porównania czynniejsze i wrażliwsze od naszej, i niewątpliwie olbrzymie sukcesy czeskie, odniesione przy zawarciu tej umowy, w dużej mierze zasługę prasy stanowią. Pisma czeskie bowiem, tak samo jak austrjackie, rozdmuchały nasze przeliczenie ceł do rozmiarów przewrotowego wprost wydarzenia, gwałcącego wszelkie umowy i zobowiązania, zręcznie i świadomie przemilczając istotę i uzasadnienie tego przeliczenia. Tym sposobem pisma urobiły w bardzo krótkim czasie w najszerszych sferach gospodarczych możliwie jak najnieprzyjaźniejszy nastrój do Polski i spowodowały rządy do odpowiednio energicznego wystąpienia. Nasz rząd natomiast w prasie polskiej równoznacznego oparcia dla równie energicznego przeciwstawienia się żądaniom czeskim nie znalazł. A że i sam w sobie nie miał widać dosyć siły dla zajęcia dość mocnej postawy odpornej, przeto nazbyt łatwo poddał się bluffowi czeskiemu i poszedł na linję ustępstw tak szeroko zakreślonych, iż *Austrja uznała za dobre zapoczątkowane zaledwie rozmowy niezwłocznie przerwać i poczekać na to, co jej zadarmo, t. j. bez wzajemnych ustępstw, przyniesie umowa z Czechosłowacją.* Tym sposobem i w Austrji znaleźliśmy kontrahenta, wydatnie przewyższającego nas w sztuce dyplomatycznej.

Bo istotnie umowa, na mocy której 192 stawki celne zostały zredukowane do wysokości z przed 15 marca, do 30 stawek zastosowano obniżony współczynnik waloryzacyjny, a 38 tylko stawek, t. j. zaledwie 14 procent ogółu objętych traktatem z Czechosłowacją, pozostawiono bez zmiany — taka umowa przyniosła za sprawą negocjatorów czeskich olbrzymie ułatwienie dla wszystkich eksportujących do Polski krajów. A że właśnie negocjatorem była Czechosłowacja, więc łatwo wywnioskować, że największa ilość ulg przypada na wyroby przemysłowe, w wielkiej części i w kraju wytwarzane.

Jeżeli się zważy jednoczesność podpisania tego układu z podejmowanemi próbami walki z ujemnością naszego bilansu handlowego — to trudno wyczuć w tem linję jakiejkolwiek uświadomionej, jednolitej, zdecydowanej polityki gospodarczej. Odnosi się raczej wrażenie, że *to zupełnie kto inny ma powierzoną sobie troskę o bilans handlowy, a kto inny pieczę nad taryfą celną.*

Próbę obrony i wytłumaczenia tej niepojętej sprzeczności podejmuje na łamach „Przemysłu i Handlu" wytrawny znawca spraw celnych, p. S. Fr. Królikowski.

Pisze on w artykule o IV protokule do konwencji handlowej z Czechosłowacją, co następuje:

„Wpływ tego protokułu na stosunki handlowe pomiędzy obu kontrahentami w obecnej fazie konjunktury w Polsce może być przypuszczalnie tego rodzaju, że zwiększy nieco import towarów czeskosłowackich do Polski. Wyrażamy się oględnie, ponieważ liczby importu przed waloryzacją ceł i po niej naogół nie odbiegają od siebie, co mogłoby znaczyć, że waloryzacja, zresztą ostrożnie przeprowadzona, nie odegrała wobec wzrostu siły nabywczej kraju poważniejszej roli w obrotach handlowych, wziętych jako całość. W związku z tem można również przypuszczać, że i dewaloryzacja ceł nie wpłynie decydująco na import, podlegający, widocznie bez poważniejszej przeszkody, naturalnej ewolucji."

Mimo całej zręczności tego ujęcia, nie może ono stanowić usprawiedliwienia wystarczającego, chociażby dlatego, że w czasie rozpoczętych już w połowie marca rokowań z Czechosłowacją nikt nie mógł napewno przewidywać, jak się ułożą stosunki importowe w kwietniu i maju. A jeżeli już kto był naprawdę aż tak dalece przewidujący, iż zgóry odgadł, że ostrożnie przeprowadzona waloryzacja nie odegra poważniejszej roli wobec wzrostu naszej siły nabywczej, to w takim razie poco było czynić ustępstwa? W takim razie, zamiast rozumować, iż dewaloryzacja w odwrotnem działaniu nie będzie miała wpływu ujemnego, lepiej było kazać czechom poczekać do chwili, w której będą mogli udowodnić zmniejszenie się swego wywozu do Polski.

Tego ufnego spokoju podzielić nie potrafimy. Przeciwnie, jesteśmy przekonani, że *skoro tylko nowe stawki celne, przyznane Czechosłowacji, wejdą w życie, a z drugiej strony wyczerpią się zasoby, nagromadzone przez sztucznie wzmożony przywóz w marcu, import będzie stale wzrastał i udaremniał wszystkie wysiłki, podejmowane w celu aktywizacji lub zrównoważenia naszego bilansu handlowego.*

Zdaniem naszem, ten moment należy odsunąć jaknajdalej. Umowa z Czechosłowacją wymaga ratyfikacji przez izby ustawodawcze, słyszymy jednak, że zamierzone jest wprowadzenie jej w życie przed jesienną sesją, której termin jest dla czechów zbyt odległy.

Nie pytamy o podstawy prawne takiego kroku, poprzestajemy tylko na powołaniu się na sprzeciwiające mu się *podstawy rozumnej polityki gospodarczej, której kształtowanie się naszego bilansu handlowego i płatniczego jasne i wyraźne wskazuje drogi.*

M. B.

OSTATNI TYDZIEŃ ZAPISÓW NA OBLIGACJE 4% PREMJOWEJ POŻYCZKI INWESTYCYJNEJ.

W sobotę, dnia 14-go b. m. ubiega termin subskrypcji pożyczki inwestycyjnej. Dotychczasowe rezultaty subskrypcji wykazują, że kwota pożyczki wyłożona do sprzedaży zostanie pokryta z nadwyżką, w związku z czem zajdzie konieczność repartycji zgłoszeń. Repartycja oblagicyj zostanie przeprowadzona w ten sposób, by korzyści, jakie daje posiadanie tego papieru, były udziałem możliwie największej ilości obywateli. Syndykat banków, który objął pożyczkę odbędzie w najbliższych dniach posiedzenie w P. K. O., celem omówienia dotychczasowego przebiegu publicznej rozsprzedaży pożyczki. Wobec dużego powodzenia pożyczki i bliskiego terminu zamknięcia zapisów należy się spieszyć ze zgłaszaniem subskrypcji, by nie utracić okazji nabycia tego papieru.

PODWYŻKA TARYFY KOLEJOWEJ.

Sprawa podwyżki taryfy kolejowej jest w dalszym ciągu na porządku dziennym. Pozostaje ona w związku z odrzuceniem projektu skomercjalizowania kolei państwowych i przekształcenie ich w samodzielne przedsiębiorstwo, wyodrębnione z ogólnej gospodarki państwowej. Po odrzuceniu tego projektu b. minister Romocki opracował plan t. zw. **samastarczalności inwestycyjnej kolei państwowych.** Okazało się bowiem, że w obecnym stanie rzeczy, t. j. bez wyodrębnienia kolei w samodzielne przedsiębiorstwo, zaciągnięcie pożyczki inwestycyjnej, wyłącznie na potrzeby kolejnictwa i zabezpieczonej na majątku kolei, natrafia na nieprzezwyciężone trudności. Plan ministra Romockiego przewiduje program inwestycyjny, rozłożony na ośm lat. Środki potrzebne na zrealizowanie tego planu koleje pragną uzyskać przedewszystkiem z powiększającego się z roku na rok ruchu transportowego, a następnie drogą podwyższenia obecnych taryf.

Dotychczas niewiadomo, jakie stanowisko wobec tego planu zajmuje nowy minister Kühn. W każdym jednak razie rewizja taryf ciągle jeszcze brana jest pod uwagę.

FINANSISTA AMERYKAŃSKI O BILANSIE HANDLOWYM POLSKI.

Niedawno bawił w Polsce finansista amerykański Harrison. Charakterystyczna jest jego opinja o polskim bilansie handlowym. Harrison narazie patrzy spokojnie na bierność polskiego bilansu handlowego i w bierności tej nie dopatruje się żadnego bezpośredniego niebezpieczeństwa. Jest jednak zdania, że gdyby kiedykolwiek bierność ta miała wywrzeć ujemny wpływ na kształtowanie się bilansu płatniczego, a tem samem i na walutę, to **należałoby chwycić się najostrzejszych środków celem zahamowania przywozu i nie cofać się nawet przed ostrą reglamentacją przywozu.** Gdyby nawet bilans handlowy był bierny wyłącznie z powodu wzrostu przywozu inwestycyjnego, to na dłuższą metę **nie należałoby tego tolerować.** W związku z tem Harrison jest zdania, że należy kierować się daleko idącą **ostrożnością i przezornością przy zaciąganiu pożyczek zagranicznych** i zwracać zwłaszcza uwagę na **pożyczki komunalne,** które z reguły idą na inwestycje, mało produkcyjne i nie mające żadnego wpływu na polepszenie się naszego bilansu handlowego, a niekiedy nawet **zużywane bywają na łatanie dziur w budżetach.**

Opinja ta znajduje zrozumienie w miarodajnych sferach naszego ministerstwa skarbu, które bardzo pilnie zwracają uwagę na sposób zużycia już zaciągniętych pożyczek i na gospodarkę samorządów funduszami pożyczonemi zagranicą. Ostrożność u nas jest tembardziej wskazana, że **samorządy znajdują się dotychczas w niepodzielnem władaniu partyj politycznych,** dla których względy natury gospodarczej są zupełnie obojętne i które gotowe są zawsze i wszędzie pominąć argumenty ekonomiczne, jeżeli chodzi o osiągnięcie **interesu partyjno-politycznego.**

Sądzimy, że należałoby w związku z tem zwrócić uwagę na **politykę kredytową Banku Gospodarstwa Krajowego,** który bardzo często ze swoich funduszów zaliczkuje samorządom poważne sumy do czasu otrzymania pożyczki zagranicznej. Sumami temi samorządy gospodarują według swego uznania, gdyż są to pieniądze pożyczone z instytucji krajowej. Tymczasem tak nie jest i pożyczki takie, jeżeli mają być zwracane z funduszów zdobytych zagranicą, **są właściwie już pożyczkami zagranicznemi,** których zużycie powinno podlegać kontroli miarodajnych czynników finansowych państwa.

OCHRONA KRAJOWEGO RYNKU PRACY W CZECHOSŁOWACJI.

Dnia 13 marca 1928 r. uchwalona została ustawa, regulująca sprawę ochrony krajowego rynku pracy. W myśl przepisów tej ustawy pracodawca winien uzyskać zezwolenie właściwej władzy na zatrudnienie cudzoziemca, o ile cudzoziemiec ten nie zamieszkuje w Czechosłowacji nieprzerwanie od dnia 1 lutego 1923 r. Zezwolenie może być udzielone, o ile wymaga tego stan wewnętrznego rynku pracy czy też inne ważkie potrzeby natury gospodarczej lub brak jest wśród robotników miejscowych poszukiwanej kategorji pracowników. W wyjątkowych wypadkach brane są pod uwagę względy osobowe lub rodzinne. Zezwolenie jest imienne i może być wydane tylko na przeciąg roku.

Minister Opieki Społecznej może częściowo lub w całości zawiesić moc obowiązującą ustawy, po porozumieniu się z właściwymi ministrami oraz po zasięgnięciu opinji organizacyj pracodawców i robotników. Ustawa weszła w życie od daty jej ogłoszenia.

Głód mieszkaniowy

Jerzy Schimmel — „Głód mieszkaniowy" (przyczyny, skutki, środki zaradcze) z przedmową prof. Dr. E. Taylora. Poznań 1928.

Pod powyższym tytułem łodzianin, p. Jerzy Schimmel, znany czytelnikom „Prawdy", wydał szkic ekonomiczny, zawierający 70 stronic dużego formatu.

We wstępie do rozprawy autor wyjaśnia społeczne znaczenie omawianego przezeń tematu, podkreślając zgubne skutki głodu mieszkaniowego (wzmożenie gruźlicy i innych chorób zakaźnych, deprawacja seksualna, szerzenie się alkoholizmu, infekcja moralna, spadek ilości małżeństw etc.), przyczem słusznie podkreśla, iż skutki te są tem groźniejsze, że działają „powoli, nieuchwytnie, cichaczem".

Przyczynę głodu mieszkaniowego i zastoju budowlanego autor widzi nie w braku kapitałów, jak to często utrzymują, **lecz w ustawie o ochronie lokatorów,** która to ustawa spowodowała, iż kapitał unika u nas inwestycji w budowlach, gdyż inwestycje te się nie kalkulują i są niepewne.

Analizując ekonomiczne skutki ustawy o ochronie lokatorów, p. Jerzy Schimmel rozpatruje ustawę tę z punktu widzenia interesu poszczególnych warstw i grup społecznych i ekonomicznych, jak miast, miasteczek i wsi, handlu, urzędników i robotników, lokatorów i sublokatorów i omawia także nader ujemny wpływ ustawy na tak ważne dla kraju zjawiska ekonomiczne, jak emigracja, uprzemysłowienie kraju, tworzenie kapitałów, bezrobocie etc. Autor wykazuje ekonomicznie wsteczny charakter ustawy i przychodzi do wniosku, iż utrzymanie jej leży jedynie w interesie lokatorów uprzywilejowanych, posiadaczy większych mieszkań w wielkich miastach. Ustawa ta przyczyniła się także do upadku stanu sanitarnego naszych miast.

Omówiwszy przyczyny i skutki głodu mieszkaniowego, przyczyny zamarcia ruchu budowlanego w Polsce, p. Schimmel wskazuje środki zaradcze, szkicuje program walki z głodem mieszkaniowym.

Będąc zdeklarowanym przeciwnikiem ustawy o ochronie lokatorów, p. Schimmel jest jednak zdania, iż może być mowa jedynie o stopniowem jej zniesieniu. Nowelizacja ustawy winna dążyć do podniesienia ustawowego komornego i do tego, by wywołać obniżenie komornego w domach nowych; gdy dwa te łańcuchy się spotkają, dopiero wtedy może być mowa o przywróceniu w kwestji mieszkaniowej zupełnie normalnych stosunków, t. j. kształtowania się cen komornego jedynie pod wpływem popytu i podaży, a tem samem o zniesieniu „etatyzmu" w polityce mieszkaniowej. Autor wskazuje pozatem szereg szczegółów — bardzo nieraz ważnych — które winna wprowadzić w życie nowela do ustawy o ochronie lokatorów.

Autor rozwija także plan zdecydowanej polityki budowlanej (dążącej do wydatnego obniżenia kosztów budowli) oraz nowej polityki finansowania budownictwa. Rozdział o polityce budowlanej, w którym autor żąda industrjalizacji budownictwa, jest nadzwyczaj ciekawy. Interesujący jest również rozdział o polityce finansowania budownictwa, w którym to rozdziale p. Schimmel robi między innymi szereg bardzo słusznych uwag co do polityki Banku Gospodarstwa Krajowego.

Z podanej grosso modo treści rozprawy p. Schimmla czytelnik widzi, iż autor omawia szereg pierwszorzędnej wagi zagadnień polityki ekonomicznej polskiej, czyniąc to, za małemi wyjątkami, bardzo rzeczowo i wykazując dużą znajomość przedmiotu.

Rozprawa jest napisana bardzo żywo i interesująco. Ekonomiczne określenia autora są często bardzo trafne i ciekawe.

Naturalnie, co do wielu punktów mam zastrzeżenia i to natury zasadniczej, nie podzielam mianowicie manchesterjanizmu p. Schimmla (a zwłaszcza autora przedmowy, p. prof. d-ra E. Taylora), mógłbym zrobić również szereg krytycznych uwag natury metodologicznej, lecz nie miejsce na to w niniejszej recenzji.

Nasza literatura ekonomiczna jest bardzo biedna, winniśmy więc witać z zadowoleniem każdą poważną i śmiałą pracę z tej dziedziny, a taką jest rozprawa p. Jerzego Schimmla, której szczerze życzyć należy powodzenia.

Dr. Arnold Flejszer.

Rynek pieniężny i giełda

Bilans Banku Polskiego za ostatnią dekadę czerwca wykazał bardzo znaczny wzrost zapasu kruszcu o 31.143.889 zł. do kwoty 604.807.306 zł., oraz zwiększenie się zapasu walut i dewiz o 6.532.145 do kwoty 323.653.569 zł. Stan obu tych pozycyj wyrażał się na dzień 30 czerwca b. r. łącznie kwotą 1.128.460.876 zł. Waluty i dewizy niezaliczone do pokrycia wzrosły o 1.119.444 do kwoty 209.779.692 zł. Portfel wekslowy osiągnął poważny wzrost o 16.722.214 do 581.495.112 zł., zwiększyły się również pożyczki zabezpieczone zastawami o 2.225.620 do 59.327.682 zł.

Natychmiast płatne zobowiązania zmniejszyły się o 18.445.447 do 595.201.155, natomiast obieg biletów bankowych wzrósł o 113.152.210 do kwoty 1.183.974.490 zł. Obie te pozycje wynosiły w dniu 30 czerwca łącznie 1.779.175.645 zł. Stan polskich monet srebrnych i bilonu przyjęty do zapasu Banku zmniejszył się o 1 miljon do kwoty 1 miljona zł.

Obrót na giełdzie dewiz był jak zwykle w pierwszej połowie miesiąca, dość znaczny. Całe zapotrzebowanie pokrywał prawie wyłącznie Bank Polski. Dolary notowano na niektórych tylko zebraniach 8.88, dewizy New-Jork 8.90, Bank Polski płacił za dolary 8.86, za dewizy 8.88. Transakcje kablem New-Jork przeprowadzano między bankami przeważnie na 8.91,65. W obrotach prywatnych płacono za dolary 8.88 — 8.88 i ćwierć. Ruble złote wahały się w granicach 4.65 do 4.66 i pół.

W dziale dewiz europejskich uwydatniła się przejściowa zniżka dewizy angielskiej i francuskiej oraz w obrotach międzybankowych Berlina i Gdańska. Przyczyną spadku dewizy niemieckiej jest według wszelkiego prawdopodobieństwa dalszy odpływ kipatałów amerykańskich i zwyżka prywatnej stopy procentowej na rynku niemieckim. Stan główniejszych rachunków Banku Rzeszy Niemieckiej przedstawiał się na dzień 23 czerwca b. r. w tysiącach marek Rzeszy następująco: zapas złota 2.062.207, zapas dewiz wysokocennych 245.255, portfel wekslowy 1.860.861, obieg biletów bankowych 3.906.724 inne natychmiast płatne zobowiązania 512.708.

Kursy dewiz europejskich notowano w środku tygodnia następująco: Bruksela 124.37, Amsterdam 359.25, Londyn 43.40 i pół, Paryż 34.95, Praga 26.42, Zurych 171.80, Medjolan 46.79, Wiedeń 125.69 i pół, Gdańsk 173.65, Berlin 212.90.

W obrotach prywatnych wzrósł dość znacznie popyt na czerwońce sowieckie wskutek czego osiągnęły one kurs 3 dol. Handel zagraniczny Rosji Sowieckiej przez granicę europejską wyniósł w okresie od 1 października 1927 do 31 maja 1928 — 899,1 miljonów rubli, podczas gdy w tym samym czasie 1926/27 — 842.8 milj. rubli. Eksport w ciągu wspomnianych 8 miesięcy 1927/28 wyniósł 395.9 milj., a import 503.2 milj. Handel zagraniczny Sowietów przez granicę azjatycką wyniósł w ciągu 6 miesięcy, t. j. od 1 października 1927 do 31 marca 1928 — 135 milj. rub., gdy w tym samym okresie w latach 1926/27 tylko 83.9 milj. rub. W sześciomiesięcznym okresie 1927/28 wywóz i przywóz przez granicę azjatycką wynosiły po 67 i pół milj. rub.

Bilans handlowy Litwy wykazał za okres pierwszych 5 miesięcy b. r. saldo ujemne w wysokości 25 milj. litów (eksport 99.1 milj., import zaś 124.1 milj. lit.). Import do Finlandji za pierwsze 4 miesiące b. r. przedstawiał wartość 2.292 milj. marek fińskich (w tym samym okresie r. ub. 1.677 milj. mk. fin.); eksport z Finlandji wynosił w tym samym okresie r. b. 983 milj., mk. fin. wobec 988 milj. mk. fin. w pierwszych 4 miesiącach roku ub. Saldo pasywne bilansu handlowego Finlandji w ciągu pierwszych 4 miesięcy 1928 roku wynosiło 1.309 milj. mk. fin., gdy w tym samym okresie r. 1927, tylko 689 milj. mk. fin. Bilans handlowy Estonji za przeciąg pierwszych 4 miesięcy b. r. wykazuje deficyt w wysokości 5.9 milj. koron. Wartość importu bowiem wynosiła 37.5 milj. kor., eksportu zaś 31.6 milj.

Na naszym rynku akcyjnym panowała w okresie sprawozdawczym tendencja zniżkowa przy obrotach minimalnych. Brak zleceń zagranicznych i krajowych oraz niechęć do zawierania transakcyj ze strony kulisy, powodowała, że dokonywano operacyj najpopularniejszemi tylko paierami. W grupie bankowej wykazywał wybitnie słabą tendencję Bank Polski. W dziale pożyczek państwowych osiągnęła poważną zwyżkę 5% Prem. Poż. Dolarowa, którą część kulisy wybrała za jeden z główniejszych objektów spekulacyjnych. Listy zastawne miały tendencję niejednolitą.

Spółki akcyjne, których akcje notowane są na giełdzie warszawskiej, wypłacają za rok 1927 następujące dywidendy: „Firley" 5 proc. od kapitału akcyjnego, wynoszącego 15.000.000 zł., czyli zł. 750.000; dywidenda płatna jest od 1 października r. b., „Kijewski, Scholtze i S-ka" 6 proc., czyli po 6 zł. od każdej akcji wart. nom. 100 zł., „Przemysł Chemiczny w Polsce" S. A. w Zgierzu 5 procent, czyli 2.50 zł. od akcji 50-ciozłotowej. „Fryderyk Puls" S. A. 3 proc., czyli 30 gr. od akcji 10-ciozłotowej. „Rohn, Zieliński i S-ka" 5 proc., czyli zł. 1.25 od okcji 25-ciozłotowej.

Awil.

Krótkie wiadomości gospodarcze

Centralny Związek Przemysłu Bankowego i Bankierskiego w Berlinie zawiadamia, że od dnia 5-go lipca otwiera w gmachu swego budynku kasę wieczorną, która w dnie powszednie od godz. 18-ej do 20.30 przyjmować będzie wpłaty na rachunek członków Związku i ich klientów. Urządzeniem tem zainteresował się w pierwszym rzędzie Związek Berlińskich Detalistów, którego członkowie mają przez to możność po zamknięciu sklepów składać utargowaną gotówkę do kasy bankowej.

* * *

Według wiadomości z Brukseli, w Antwerpji będzie wkrótce założony Bank Przemysłowy (Banque Industrielle d'Anvers). Kapitał wynosi 20 miljonów franków. Nowy bank zajmie miejsce banku dla kredytu hipotecznego i handlowego (Credit hypothecaire et commerciale), który ma być zlikwidowany. W nowym banku weźmie udział grupa, finansująca tramwaje w Antwerpji i Rotterdamie.

* * *

Zgodnie z polityką, dążącą do zaniechania przez państwo prowadzenia linij okrętowych urząd morski Stanów Zjednoczonych polecił przygotowanie licytacji trzech amerykańskich linij, a mianowicie United States Lines, Merchant Lines i American Palmetie Lines. Chodzi o 23 statki, których koszty budowy rzekomo wynosiły ogółem 95 miljonów dolarów. Liczą się z tem, że przyniosą mniej, niż 25 miljonów dolarów.

* * *

Hiszpański minister skarbu zapowiedział wydanie dekretu, w myśl którego wszystkim publicznym, półoficjalnym i pod kontrolą państwa stojącym przedsiębiorstwom wolno będzie ubezpieczać swe ryzyka tylko w hiszpańskich towarzystwach. Plan upaństwowienia towarzystw asekuracyjnych został tymczasowo zaniechany.

* * *

Ilość robotników i robotnic, zatrudnionych w zakładach Forda w Detroit stale wzrastała w ciągu miesięcy, w których odbywało się przejście na budowę nowego modelu. Przy końcu maja osiągnięto cyfrę 112.683 zatrudnionych osób. Ostatni rekord utrzymany był od lata 1926 roku, kiedy cyfra zatrudnienia wynosiła 110.000 osób. Obecnie zatrudnieni robotnicy i robotnice w ilości 122.683 rozdzielają się na 3 zakłady w Detroit, jak następuje: Zakłady Fordson 75.853, Zakłady Highland-Park 32.111 i Zakłady Lincoln 4.714 zatrudnionych.

* * *

W ostatnich miesiącach kursowały na zagranicznych rynkach zbożowych pogłoski o zakupach zagranicą zboża i mąki przez Rosję, które ostatecznie zawsze okazywały się nieprawdziwemi. Obecnie jednak są dowody na to, że władze sowieckie w ostatnich dniach zakupiły wielkie ilości pszenicy, które mają natychmiast być wysłane, celem zaopatrzenia ludności aż do nowych zbiorów. Chodzi o łącznie 200.000 ton pszenicy, zakupionych w Chicago, Winnipeg, Buenos Aires, Genui, Amsterdamie i Rotterdamie. W samym Rotterdamie władze sowieckie zakupiły z tamtejszych zapasów 40—50.000 ton.

* * *

Obrót akcjami na nowojorskiej giełdzie pieniężnej doznał w ubiegłym miesiącu znacznego zmniejszenia wskutek wstrzemięźliwości, obserwowanej w ostatnich 14 dniach. Ogółem odbyły się tranzakcje 62 milj. sztuk, wobec 83 milj. szt. w maju, 82 milj. szt. w kwietniu i 85 milj. szt. w marcu. Zmniejszenie się obrotu jest faktycznie jeszcze silniejsze, niż wykazują powyższe cyfry. Należy bowiem wziąć pod uwagę, że w maju oficjalny czas trwania giełdy skrócony był o jedną godzinę. Nadto w miesiącu tym giełda w soboty nie była czynna, podczas gdy w czerwcu funkcjonowała przez sześć dni w tygodniu. Uwzględniając powyższe okoliczności, wynika, że wobec rekordowych obrotów w miesiącach poprzedzających, tranzakcje zmniejszyły się o 50 procent.

* * *

Druga międzynarodowa konferencja dla usunięcia ograniczeń przywozu i wywozu otwarta została w Genewie pod przewodnictwem b. premjera holenderskiego, Colijna. Z 27 państw, które do dnia 15-go czerwca r. b. podpisały układ z dnia 8 listopada 1927 roku, wszystkie są reprezentowane. Konferencja zajmuje się badaniem zaproponowanych wyjątków. Przewodniczący wezwał reprezentantów tych państw, które zaproponowały wyjątki, by oświadczyli, czy zamierzają wyjątki te utrzymać. Konferencja ma zbadać, jak dalece wyjątki mogą być uzgodnione z postanowieniami układu. Dalszem zadaniem konferencji jest ustalenie warunków dla wejścia w życie układu, zwłaszcza ilości potrzebnych dla tego ratyfikacyj oraz ustalenie daty wejścia w życie. Jak się dowiadujemy, oświadczył reprezentant Polski, że rząd polski cofa wniosek na zakaz przywozu barwników i wywozu ropy. To stanowisko rządu polskiego spotkało się z żywem uznaniem.

* * *

Sprawozdanie roczne amerykańskiego oddziału szwedzkiego trustu zapałczanego stwierdza, że zbyt zarówno w Ameryce, jak i na innych rynkach mógł być znacznie podwyższony. Czysty zysk wzrósł, a mianowicie do 16,6 miljonów dol. wobec 14,6 milj. w roku przeszłym. Dywidenda będzie wydzielona w ogólnej kwocie 3,2 miljonów dol. Cyfry bilansowe znacznie się podwyższyły, i tak naprz. zaliczki z 22,6 na 34,5, a pożyczki, udzielone poszczególnym stanom, z 22,4 na 33,2 milj. dol.

* * *

Dwa pokłady węgla wysokiego gatunku odkryte zostały koło Springhill w Nowej Szkocji. Odkrycie, które rzekomo jest jednem z najbogatszych jakich dokonano w Nowej Szkocji od wielu lat, zawiera dwa pokłady doskonałego węgla. Główny pokład, około 35 stóp pod powierzchnią, ma nieco więcej, niż 3 stopy grubości; około 30 stóp niżej, między dobrym skalistym kamieniem jest drugi pokład o 5 stopach grubości.

* * *

Jak z Brukseli donoszą, belgijski bank emisyjny obniżył z dniem 30-ym czerwca r. b. stopę dyskontową z 4½ na 4 procent.

* * *

Na wniosek niemieckiego górnośląskiego syndykatu węglowego, rada węglowa Rzeszy zgodziła się na podwyżkę cen węgla, która wynosi przeciętnie 1 markę niem. za tonę. Podwyżka wchodzi w życie z dniem 11 lipca r. b. Również i kopalnie węgla brunatnego zażądały podwyżki w tej samej wysokości, rada węglowa jednak jeszcze decyzji nie powzięła.

Walka kolei z samochodem

Przedsiębiorstwa kolejowe, zwłaszcza na Zachodzie, z coraz większą troską spoglądają na rozwój transportów towarowych zapomocą samochodów. Zwiększenie się prywatnego ruchu samochodowego spowodowane zostało wielką wygodą przy transportowaniu towarów, którą daje ten środek lokomocji wobec kolei. Odpowiada to gospodarczemu rozwojowi, który ma coraz to większą dążność do wyzwolenia się od lokomocji po szynach, ograniczonej terytorjalnie, technicznie i czasowo. Jest to dopiero początek rozwoju, który według wszelkich przewidywań w najbliższych latach coraz intensywniej w tym kierunku będzie zdążał. I tutaj, jak przy wszystkich nowych urządzeniach gospodarczych, odpowiadających silnej ekonomicznej potrzebie, inicjatywa wyszła ze strony prywatnej.

Korzyści, które ruch samochodowy daje kupcom, to przedewszystkiem wyeliminowanie kosztów załadowania i dowozu do kolei, oraz znacznie krótszy czas przewozu wobec transportu kolejowego i daleko idące szanowanie towarów, gdyż samochód przewozi towar z domu do domu, przez co zaoszczędza się kilkakrotnego przeładowywania. Przy równocześnie krótszym czasie przewozu i innych korzyściach, koszt przewozu zazwyczaj jest niższy, niż na kolei.

Samochód, jako środek lokomocji dla towaru handlowego, jest zjawiskiem powojennem. Podczas wojny zrobiono bardzo dobre doświadczenia przy transportowanu prowiantu, amunicji i t. d. na samochodach ciężarowych po wielkich przestrzeniach. Najprzód powstały t. zw. linje pomocnicze, które dowoziły towary z odległego miejsca produkcji do najbliższej większej stacji kolejowej. Przedsiębiorstwa takie utrzymywali przeważnie ekspedytorzy, którzy mieli siedziby swoje przy większych stacjach kolejowych.

Z biegiem czasu nie zadowolono się temi linjami pomocniczemi, lecz urządzono samodzielne linje, które na większych przestrzeniach przewożą wszelkiego rodzaju towary, pozbawiając koleje transportów towarowych. Ponieważ te prywatne towarzystwa samochodowe nie mają ścisłego rozkładu jazdy, tylko kursują zawsze w miarę potrzeby, t. zn. jeżeli mają swe samochody zapełnione, oznacza to dla przedsiębiorstw tych największą rentowność. Moment ścisłych rozkładów jazdy oznacza z natury rzeczy zawsze dla kolei pewne ryzyko, gdyż pociągi muszą w czasie, rozkładem jazdy oznaczonym, wyruszać bez względu na to, czy wagony są zapełnione czy nie. Przy słabszem załadowaniu wagonów stanowi to zwyżkę kosztów eksploatacji. Szczególną korzyść, którą prywatny ruch samochodowy także daje kupcom, to możliwość natychmiastowej wysyłki.

Koleje starają się rozwojowi ruchu samochodowego przeciwdziałać przez prowadzenie takich linij we własnym zarządzie, albo przez uzyskanie na nie wpływu przez zdobycie odpowiedniej ilości udziałów. Wystąpienie na drogę prawną przeciw prywatnym linjom samochodowym byłoby tylko wtedy możliwe, gdyby prywatne towarzystwa transportowe wykroczyły widocznie przeciwko monopolowi kolei, ustanawiając codzienne przewozy według ścisłego rozkładu jazdy i gdyby uprawiały odpowiednią publiczną propagandę. Ale takich środków prywatne linje samochodowe nie potrzebują. Skutkiem niskich taryf podaż dla transportów jest tak wielka, że szereg towarzystw na Zachodzie na pewnych przestrzeniach wykonywuje przewozy kilka razy dziennie względnie tygodniowo. Ponieważ przełamanie monopolu kolei nie wchodzi w rachubę, istnieje zwłaszcza dla kolei państwowych, inna możliwość wystąpienia przeciw prywatnym towarzystwom, mianowicie zabronienie drogą ustawy transportu wszelkich towarów przez prywatne linje samochodowe. Tego rodzaju radykalny środek odniósłby wprawdzie dla kolei pożądany skutek, ale na przemysł i handel wywarłby tak niekorzystny wpływ, że w praktyce prawie nie jest do pomyślenia.

Pozostaje zatem tylko porozumienie. Że w ten sposób interesy kolei mogą być zabezpieczone, dowodzi przykład Stanów Zjednoczonych, gdzie przy pomocy wspólności taryfy i t. d. udało się tamtejszym towarzystwom kolejowym sprostać konkurencji prywatnych przedsiębiorstw samochodowych zarówno w ruchu towarowym, jak i osobowym.

Dr. S.

Przetarg.

Kasa Chorych m. Łodzi ogłasza niniejszem pisemne publiczne przetargi ofertowe na wykonanie robót wewnętrznych i filtru biologicznego w lecznicy przy ulicy Łagiewnickiej w Łodzi.

Przetargi odbędą się w dniu 28 lipca 1928 roku o godz. 18 w Centrali Kasy Chorych m. Łodzi, przy ul. Wólczańskiej 225.

O roboty powyższe ubiegać się mogą zarejestrowane przedsiębiorstwa i firmy, które wykażą, że już wykonały większe tego rodzaju roboty.

Oferty, odpowiadające treści kosztorysów wstępnych z dnia 21 czerwca r. b., a sporządzonych według przepisów tymczasowych Ministerstwa Robót Publicznych o oddawaniu robót i dostaw państwowych L. III/396/26 z dnia 31 lipca 1926 roku, oraz według warunków przetargu, składać należy w Wydziale Gospodarczym Kasy Chorych m. Łodzi, ulica Wólczańska 225, w kopertach podwójnych, przyczem wewnętrzna, zawierająca samą ofertę, powinna być zalakowana pieczęcią firmową i zaopatrzona napisem „Oferta do przetargu, mającego się odbyć w dniu 28 lipca 1928 roku na wykonanie filtru biologicznego lub robót wewnętrznych w lecznicy Kasy Chorych w Łodzi, przy ul. Łagiewnickiej", zewnętrzna zaś, prócz wyżej pomienionej koperty, powinna zawierać dowód wpłacenia wadjum do Banku Gospodarstwa Krajowego do depozytu Kasy Chorych m Łodzi, w wysokości 4 proc. oferowanej sumy na każdą z robót — gotówką lub papierami procentowemi, mającemi wartość pupilarną, ustaloną Rozporządzeniem Ministerstwa Skarbu z dnia 28 grudnia 1926 roku, ogłoszonem w Dzienniku Urzędowym Min. Skarbu Nr. 3 z dnia 22. I. 1927 r.

Termin składania ofert upływa o godz. 18 w dniu 28 lipca r. b., bezpośrednio przed rozpoczęciem odnośnej rozprawy ofertowej

Oferty, nieodpowiadające wymienionym powyżej warunkom lub złożone po terminie, nie będą rozpatrywane.

Odnośnych informacyj udziela Nadzorca Techniczny Kasy Chorych inż. p. W. Szereszewski, w biurze własnem, przy ul. Przejazd Nr. 30, w Łodzi.

Odpowiedni ślepy kosztorys oraz warunki przetargu za opłatą zł. 5 wydawane są w Wydziale Gospodarczym Kasy Chorych m. Łodzi, ul. Wólczańska 225, w godzinach od 9-ej do 15-ej.

UWAGI

KASY CHORYCH.

W Kasie chorych m. Łodzi, obsługującej kilkaset tysięcy robotników i pracowników tego przemysłowego środowiska, wybuchł przed kilkunastu dniami strajk farmaceutów. Farmaceuci odmówili sporządzania recept „na zapas", czego domagała się od nich kasa chorych i przystąpili do strajku. Takie sporządzanie lekarstw receptowych na zapas jest pewnego rodzaju *dążeniem do racjonalizacji i normalizacji pracy w aptekarstwie.* I byłoby wszystko w porządku i żądanie Kasy Chorych najzupełniej słuszne, gdyby z drugiej strony Kasa z równą gorliwością starała się o *znormalizowanie i ustandaryzowanie chorób.* Wtedy na chorobę A. dawanoby lekarstwo, sporządzone według recepty A. i praca szłaby raźno i od ręki. Chory zamiast recepty i diagnozy otrzymywałby poprostu na kartce lub do swojej książeczki stempelek A. szedłby do apteki i tam z półki A. danoby mu pakiecik A. w którym znajdowałby się komplet medykamentów z drukowanym sposobem użycia. Praca szłaby jak w zakładach Forda na taśmie bieżącej.

Ale normalizacja i standaryzacja chorób jest, jak narazie, kwestją dalekiej przyszłości. Chwilowo może najwyżej jakiemuś powieściopisarzowi posłużyć za temat do fantastycznej opowieści. Farmaceuci przeto oparli się żądaniu Kasy Chorych sporządzania na zapas lekarstw na grypę, kaszel, bronchity, bóle brzucha i t. p. pospolitsze choroby, domagając się utrzymania dotychczasowego wypróbowanego systemu, według którego każdy chory powinien być należycie zbadany, otrzymać przeznaczoną dla siebie receptę, przyjść z tą receptą do apteki kasowej, wziąć numerek i przyjść po kilku godzinach lub „jutro rano" i odebrać przyrządzone dla siebie lekarstwo.

Nie trzeba jednak sądzić, że farmaceuci uczynili tak dlatego, by tak znów wiele obchodziło ich zdrowie członków Kasy Chorych i poziom lecznictwa kasowego. Poprostu zrozumieli, że Kasa Chorych nie bez kozery chwyta się tak wymyślnych sposobów i że *za tą standaryzacją lekarstwa na grypę i kaszel kryją się plany redukcyjne.* Jeżeli bowiem będzie można lekarstwa na pewne najczęstsze choroby przygotowywać zgóry i masowo, to bardzo łatwo będzie można zredukować personel farmaceutyczny o dobrych kilkanaście procent. Zastosuje się wówczas przepis o ośmiogodzinnym dniu pracy, wyliczy się ile normalny farmaceuta przez tych ośm godzin może ukręcić pigułek, a ile utrzeć proszków i posadzi się go w laboratorjum, aby już nic innego przez pełnych ośm godzin nie robił. Za ladą apteczną postawi się zaś tanie panienki, które wydawać będą z numerowanych szufladek dawno przygotowane lekarstwa na numerowane recepty.

Wybuchł więc strajk i strony odwołały się do rzeczoznawców. Farmaceuci znaleźli jakiegoś profesora farmakologji na jednym z uniwersytetów, który czarno na białem wypisał, że to co zamierza zrobić łódzka Kasa Chorych jest czemś niesłychanem i jeżeli ten piekielny pomysł zostałby wprowadzony w życie, to mogłoby to mieć nieobliczalne poprostu skutki i ludzie marliby jak muchy po zażyciu znormalizowanych lekarstw.

Kasa Chorych odwołała się natychmiast do jeszcze większej znakomitości, która także czarno na białem stwierdziła, że w poczynaniach Kasy niema nic zdrożnego. Fakt, że X. otrzymał na katar od swego lekarza inne lekarstwo niż Y., który także kicha, niczego nie dowodzi, oprócz tego, że lekarze niepozbawieni są pewnej fantazji w doborze lekarstw o różnej nazwie lecz tej samej treści. Najspokojniej w świecie X. mógłby dać swoje lekarstwo panu Y. i wziąć w zamian od niego jego lekarstwo. Skutek będzie zawsze ten sam. A co się tyczy niebezpieczeństwa psucia się przygotowanych na zapas lekarstw, to znakomitość, orzekająca na zamówienie Kasy Chorych, twierdzi, że takiego niebezpieczeństwa niema, gdyż w Kasie Chorych frekwencja jest tak liczna, że nawet bardzo duży zapas nie starczy nigdy na dłużej niż na dwa lub trzy dni. A wiadomo, że chory, dla którego w aptece sporządzono lekarstwo, także na raz całej butelki nie wypija, lecz spija je łyżeczkami, nieraz przez cały tydzień, i lekarstwo się nie psuje.

Farmaceuci nie dali za wygraną i zwrócili się do innej z kolei powagi farmaceutycznej, która zbija znowu argumenty obrońcy Kasy Chorych a uzasadnia i pogłębia wywody pierwszego rzeczoznawcy farmaceutów.

Spór trwa nadal. Jak widać *chodzi tu o opór pracowników przeciw próbom pracodawcy zwiększenia wydajności ich pracy przez zastosowanie odpowiednich metod w tej pracy,* chodzi o walkę przeciw próbie robienia oszczędności na pracy ludzkiej. Sporów takich było już wiele i to w tej samej Łodzi. Gdy dwa lata temu w przemyśle włókienniczym zapoczątkowano wprowadzanie nowych metod, przy których możliwem było podniesienie dotychczasowej wydajności pracy robotnika, w rzeszach robotniczych zawrzało. Próby racjonalizacji pracy uznano za nową formę wyzysku pracy przez kapitał, szturmowano do wszystkich ministerstw, sprowadzano komisje i biegłych, organizowano strajki, piorunowano w prasie robotniczej na fabrykantów. I dotychczas jeszcze przy każdej próbie zreformowania przestarzałych metod pracy w jakimś zakładzie przemysłowym interwenjują związki robotnicze i rzadko kiedy obywa się bez strajku.

Ale że w Kasie Chorych władzę sprawują partje robotnicze, że w tym wypadku inteligent śmie upominać się o to samo, o co walczy robotnik, mając w dodatku sporo słuszności po swojej stronie, związki robotnicze jak na komendę odbywają wiece i uchwalają rezolucje potępiające strajk farmaceutów w kasie chorych i nazywają stanowisko zarządu kasy słusznem. Dołoj gramotnyje, precz z inteligencją! Ma słuchać władzy robotniczej i milczeć! Tak każe demokracja.

KIEPURA.

Jest bezwątpienia jednym z najlepszych tenorów doby obecnej i niewielu ma równych sobie pod względem możliwości głosowych. Dość daleko mu jednak do tego, aby był dobrym śpiewakiem. Fascynuje głosem i jego siłą. Porywa zwłaszcza słuchacza polskiego, któremu daje pewne zaspokojenie dumy narodowej urokiem swoich zagranicznych sukcesów.

Ale młody ten chłopak, dla którego fortuna miała dotychczas tylko najwdzięczniejsze uśmiechy, który na swojej drodze artystycznej nie zaznał jeszcze ani jednej poważniejszej przeszkody, który przez otwarte drzwi wszedł tam, gdzie inni ręce sobie krwawili, aby przejście zdobyć, jest wysoce niesympatycznym młodzikiem. Wielki talent nie uszlachetnił jego charakteru a sukcesy raczej pogłębiły w nim niesympatyczne rysy małomiasteczkowego rzemieślnika i handlarza. Nie ma w nim nic z artysty z Bożej łaski, a zato aż nazbyt wiele z „chytrego na pieniądze" obywatela miasta Sosnowca, dla którego „forsa to grunt", a reszta to drobiazg.

Obrzydliwe są te jego targi o honorarja i ta bezwzględna, chytra pogoń za zarobkiem. Wartość swego talentu mierzy wysokością honorarjów. Sukces, to dla niego przedewszystkiem cyfra i to koniecznie w dolarach. Bez dolarów ani rusz. Nie cofnie się przed żadną kombinacją, jeżeli tylko jeszcze kilkadziesiąt dolarów można na niej zarobić.

To co zrobił ostatnio w Warszawie, wzięte jest jakby żywcem z repertuaru kombinacyj panów piekarzy i rzeźników, gdy wojowali z różnymi urzędami do walki z lichwą, cenami maksymalnemi i t. p.

Zapowiedziany jest jego koncert w warszawskiej Filharmonji. Oczywiście sam sobie jest impresarjem i najchętniej sam siedziałby przy kasie biletowej. Polskie Radjo posiada kontrakt z Filharmonją, w myśl którego wszystkie produkcje z Filharmonji za pośrednictwem mikrofonu dostają się do warszawskiej stacji nadawczej a kablami do wszystkich pozostałych polskich stacyj, a stamtąd do przestrzeni i do odbiorników i głośników. Koncert Kiepury z natury rzeczy miał być także nadany przez radjo. Kiepura wiedział o tem, umawiając się z Filharmonją i nic na to nie powiedział. Prosił tylko, aby dopiero w ostatniej chwili zawiadomiono słuchaczy radja, że Kiepura śpiewać będzie także dla radja, a to dlatego, że w razie wcześniejszego zawiadomienia niejeden zechce zaoszczędzić sobie wydatku na bilet do Filharmonji i słuchać będzie koncertu w domu. Radjo oczywiście zgodziło się na to i dopiero w dzień koncertu zawiadomiło o zmianie programu. W ostatniej chwili Kiepura zażądał wyłączenia mikrofonów w sali Filharmonji, oświadczając, że czynne mogą być tylko wtedy, gdy Polskie Radjo zapłaci mu kilka setek dolarów za prawo nadawania jego koncertu. Radjo powołuje się na umowę z Filharmonją, Kiepura wywodzi, że umowa ta nie dotyczy go, gdyż to nie Filharmonja, lecz on urządza koncert. Tłumaczą mu, że skoro pozwolił na zapowiedzenie swego koncertu, to nie powinien w ostatniej chwili stawiać tak wygórowanych żądań. Dał do zrozumienia, że głowa o to boleć powinna dyrekcję Polskiego Radja, do którego słuchacze mieć będą pretensję za wprowadzenie ich w błąd i że Radjo najlepiej uczyni, jeśli zapłaci, aby się nie zblamować.

Radjo oczywiście nie zapłaciło lecz odwołało koncert Kiepury. I postąpiło słusznie. Szkoda tylko, że prasa, kierując się zupełnie fałszywemi względami, przemilczała przeważnie ten przyczynek do charakterystyki Kiepury.

Zaiste trudno Kiepurę nazwać artystą. Sam stara się przekonać ludzi na każdym kroku, że jest tylko handlarzem swego głosu.

LEONARD FRANK.

ODDECH

W domu nie czuła się Aneta gorzej, niż zwykle. Jadąc teraz do lekarza, odczuwała każde wstrząśnienie wozu tramwajowego z dziesięciokrotną siłą. Spadały na nią te uderzenia, jedno po drugiem, a ona bezsilna musiała je znosić. Potężne mury kościoła i wysoka śpiczasta wieża pochyliły się lekko nad wozem. Wóz jechał równocześnie w tył i naprzód. I znowu uderzenia straszliwie silne. Wóz począł się z zawrotną szybkością obracać dookoła siebie. Pobladła z zawrotu i przestrachu. Musiała wysiąść. Zatoczyła się w tył — poleciała naprzód. Wóz stanął. Gdzie podziała się jej głowa? Zakręciła się w kółko i poleciała na drugą stronę ulicy. Ciało zsunęło się ciężko po schodkach. Sekundę stała jeszcze w tłumie na ulicy, potem opuściły ją siły. Jak podcięta osunęła się na bruk. Nikt jej nie podtrzymał.

Dwaj mężczyźni — jeden krępy z grubemi wargami i w binoklach, które na jego twarzy buldoga wyglądały jak jakaś broń — zanieśli ją na stację pogotowia ratunkowego. Czarny pies, nadszczekując, leciał obok. Krępy chciał go odpędzić nogą. Otwarła oczy i powiedziała swoje nazwisko i adres. Pies doskoczył i zaczął głośno ujadać.

„Co jej jest?" Lekarz na stacji pogotowia mył zakrwawione ręce pod wodociągiem. Obok w pokoju krzyczała w niebogłosy jakaś kobieta, która dostała się pod koła.

„Proszę ją tam posadzić." A wycierając ręce: „Jak się pani nazywa?" Podszedł do niej. Ręcznik, który migał jej teraz przed oczyma przyprawił ją o nowy zawrót głowy. Zdawało się jej, że jedzie w wygodnym wagonie kolejowym przez pola pokryte brudnym śniegiem. Głowa opadła na ramiona. „Proszę zadzwonić 17-45. To mój lekarz domowy".

„Ale jak się pani nazywa?"

Zamknęła oczy i przyłożyła drżące palce do tętnicy na szyi. „Aneta Vierkant". Nie miała siły, by podnieść głowę. Jej pełna, piękna twarzyczka była biała, jak chustka, a pod oczami ciemne plamy. Niepytana raz jeszcze podała adres. „Proszę mnie odwieźć do domu".

„Moim obowiązkiem jest zwrócić pani uwagę na to, że pani będzie musiała ponieść koszta karetki, o ile pani nie należy do kasy chorych... Czy pani jest zamężna?"

Głowa opadła jej jeszcze niżej. — „Panieńskie nazwisko pani?" — Zadzwonił telefon. — „Proszę o panieńskie nazwisko pani". — Rzucił notatnik na stół. — „Pogotowie ratunkowe!" Za zamkniętemi drzwiami wrzeszczała bez przerwy przejechana. Pod drzwiami kucała czteroletnia dziewczynka i zanosiła się od głośnego płaczu.

„Jak? Jak ona wygląda?.. wielka? Co to znaczy wielka!.. Że też ci ludzie nigdy nie potrafią powiedzieć, jak wyglądają ich najbliżsi, z którymi spędzają życie!" — powiedział do asystentki, której usta były jak prosta i jak nitka cieniutka kreska, nad którą błyszczały przedziwnie czyste błękitne oczy.

„Hallo! Czy matka pańska miała przy sobie małe dziecko?... W takim razie to nie ona". Powiesił słuchawkę telefonu.

„Gdzie i kiedy się pani urodziła?... Bardzo mi przykro, ale ja muszę najpierw wiedzieć, gdzie i kiedy się pani urodziła" — oświadczył spokojnie Anecie i zapisał odpowiedź.

Pokój zachwiał się jej w oczach. Nowy atak omdlenia się zbliżał. „Dzwońcie do mego lekarza... 17-43".

„Jakie było pani nazwisko panieńskie?" Powtórzył je i zapytał: „Czy przez y?"

Krępy zdjął z nosa broń. „Czy pan nie może tego wszystkiego napisać potem, gdy chora otrzyma pomoc?" Z powrotem wcisnął binokle na nos i wydął wargi. Aneta resztką sił starała się zwalczyć nowe omdlenie. Bała się, że umrze, a zdawało się jej, że ten człowiek z notatnikiem w ręku pragnie ją zamordować.

„Jeżeli z jakiejkolwiek przyczyny nie zrobimy tego natychmiast, mój panie, to później przez kilka dni nie możemy zdobyć potrzebnych dat. A w międzyczasie krewni warjują z niepewności. To jest właśnie druga strona... Niech pani zadzwoni do lekarza chorej".

Przejechana zaczęła teraz z innego tonu, krzyczała jak jakieś nieznane zwierzę. Dziecko zaczęło piszczeć. Aneta chciała podnieść głowę — ale opadła w tył.

„A teraz co pani jest?" — „Serce!"

„Lekarz tej pani telefonuje, że należy dać jej natychmiast digitalis i odwieźć ją do domu.

Drzwi gwałtownie otwarto. Dwaj policjanci wnieśli wytwornie ubranego starszego pana. Twarz miał zzieleniałą. Obłocony kapelusz leżał na brzuchu. Gęsty ciepły zapach karbolu wyparł świeże powietrze.

„Czy panowie macie jego personalja?" — „Nie odzyskał przytomności. Gdy nas wezwano, był już nieprzytomny".

Lekarz opuścił rękę przyniesionego. „Zmarł. Atak apoplektyczny! Proszę zadzwonić do trupiarni".

Zwrócił się do krępego. „Może ma żonę, dzieci — nieprawda! W mieście mamy pięćdziesiąt sześć stacyj pogotowia. Pięćdziesiąt sześć! A codziennie na każdej stacji mamy po kilkanaście wypadków. Żyjemy w miljonowem mieście! Teraz niech pan sobie wyobrazi, coby to było za zamieszanie, gdyby..."

„Tak, ale..."

„Niema żadnego ale!"

„Ale niech pan da wreszcie chorej lekarstwo!" Równocześnie z lekarzem skoczył ku Anecie, która omdlała i zsunęła się z krzesła.

* * *

„Pani zrobiło się niedobrze. Lekarz dzwonił, powiedział, że zaraz tu będzie". Mówiąc to, także się uśmiechała młoda zgrabna pokojówka z Pomorza. Uśmiechała się tak do wszystkiego, co w mieście widziała i słyszała. Miała siedemnaście lat, blondynka, zdrowa jak rydz i nauczyła się już w ciągu dwuch tygodni służby w mieście nosić jedwabne pończochy i pantofelki na wysokich obcasach.

Michał automatycznym ruchem chwycił słuchawkę. Jeszcze lekarz nie skończył mówić, gdy rozległy się ciężkie kroki w klatce schodowej. Dwaj szaro ubrani sanitarjusze wnieśli ją na noszach, nogami naprzód. Włosy rozsypały się jej po woskowej twarzy. Przezroczyste ręce leżały splecione na piersiach, jakby do trumny. Wyglądała jak nieprzytomna, którą co tylko zdjęto ze stołu operacyjnego.

Przestraszył się tak, że nie mogło to trwać dłużej, niż sekundę. „Proszę zrobić łóżko!" Skoczył naprzeciw. Ona otwarła oczy i zaraz je zamknęła. Króciutkie spojrzenie, w którem nawet siły spojrzenia nie było, bezsilne otwarcie oczu, zgodne zupełnie z jej stanem: poważne, fatalistyczne i opanowane. Jakby po dotknięciu palcem śmierci. W łóżku także nie mogła jeszcze mówić. Raz tylko spojrzała na niego. Jakby cięcie ostrym nożem przeszło przezeń wstrząśnienie. Z sinobladych ust odczytywał jej myśli i pragnienia. Gdy miękkim ruchem odgarniał jej włosy z twarzy, próbowała uśmiechnąć się. To było więcej, niż gdyby zdrowa kobieta chciała za swego ukochanego wziąć cały ciężar świata na siebie.

Kroki lekarza, przyjaciela domu, słychać już było w przedpokoju. Już na schodach zdjął palto i skręcał słuchawkę. Na pół sekundy zatrzymał się pod drzwiami sypialni, a potem wszedł spokojnie. Dawno już musiał jej solennie przyrzec, że nawet w najgorszym razie powie jej bez osłonek czystą prawdę o jej stanie i zdawało mu się, że tutaj wyjątkowo będzie mógł obietnicy swojej dotrzymać. Bo to była mądra kobieta, którą trudno byłoby oszukać, gdyż od dawna w duszy bliska była jednakowo śmierci jak i życia.

A gdy potem, gdy siedział na skraju jej łóżka, starając się ukryć wrażenie, jakie na nim wywarł jej stan i wysłuchując palcem zbyt powolny i ledwie wyczuwalny puls, otwarła znowu oczy. Spojrzenie jej mówiło o śmierci. Była jednak spokojna. W oczach tylko taiło się pytanie. Lekarz odpowiedział na nie, mówiąc spokojnie i jakby do siebie: „Atak sercowy — to przychodzi i mija. Trzeba w najbliższym czasie wystrzegać się wszelkich wzruszeń".

Teraz dopiero zapytała głosem: „Czy ja umrę, doktorze?" A na ustach jej pojawił się prześliczny uśmiech, pełen nadziei i wiary.

„Nie!" I uśmiechnął się przekonywująco. „Zbyt młoda pani jest, by już umierać. Gdy by pani była o piętnaście lat starsza — to kto wie! Ale tak..."

„Michale, proszę cię, daj mi grzebień... lustro także!" — Dano jej zastrzyk. Puls zaczął mocniej bić. Sama się uczesała, a potem uspokojona zasnęła, oddychając równo i spokojnie.

„Jestem zdumiony. Tak silnego ataku się nie spodziewałem. Niema jednak niebezpieczeństwa!" Tak powiedział Michałowi i tak myślał. Napisał kilka recept.

„Mnie powinien pan powiedzieć prawdę!"

„Mówię panu szczerą prawdę!... Na wieczór jestem zaproszony, gdyby było potrzeba, proszę tam do mnie zadzwonić".

Michał siedział w swoim gabinecie przy biurku. Obok leżała jego chora żona. Nie była niemiła dla niego ta świadomość. W jakimś kącie swego serca i swojej miłości dla Anety pragnął, by mógł czuwać nad nią i pielęgnować ją. Niczegoby nie zaniedbał, najlżejsze jej pragnienie byłoby spełnione. Nie bał się już o nią. Aneta już od kilku lat była cierpiąca. Przyzwyczaili się oboje do tego, tak jak każdy człowiek przyzwyczaja się i do zbytku i do biedy. Od wielu lat Michał dostosował swój tryb życia do stanu zdrowia Anety, zrezygnował z wielu rozrywek i przyzwyczajeń i żyli razem w ciszy. Całą swoją energję życiową zużywał przy biurku. Miał lat czterdzieści. Czoło wysunęło mu się ponad brwi i ten garb w ciągu wielu lat pracy przy biurku stawał się coraz większy. Czoło panowało nad szczupłą jego twarzą, której fanatyzm powtarzał się drugi raz w cienkiej, ostrej linji ust. W oczach tylko widoczna była jego wrażliwa natura. Włos miał już posiwiały. Wytrenowany sportowo, mógł w dziesięć sekund wybiec po schodach na czwarte piętro i pod drzwiami oddychał tak spokojnie, jak na dole.

W mieszkaniu było zupełnie cicho. Michał pisał. Pokojówka, czuwająca u niedomkniętych drzwi sypialni, podciągnęła spódniczkę powyżej kolan i z zadowoleniem oglądała swoje proste jak świece i kształtne nogi, wyciągała je co chwilę przed siebie, przyciskając jedną do drugiej. Na trzeci dzień po przybyciu do miasta skróciła sukienkę o dwadzieścia centymetrów i dopiero teraz zobaczyła i poznała swoje nogi. Uśmiechając się cicho, wyciągnęła z kieszeni lusterko, wyszczerzyła zęby, równe i białe i po raz trzeci w życiu upudrowała sobie czerstwe i rumiane policzki. O dziesiątej poszła spać. Michał położył się na kanapie w buduarze Anety, nadsłuchując i myśląc. Myślał o swoich pracach i o Anecie. Obudził go jęk.

W śmiertelnym strachu chciała podnieść się i wstać z łóżka. Ciało całe wysunęła na krzesło — nogi pozostały w łóżku. Wolno kręciła głową na wszystkie strony, jakby pomocy szukała. Serce nie pracowało, twarz była szara.

„Co się stało! Co robisz!" Przestrach chwycił go za nogi. Z trudem podniósł ją i ułożył w łóżku. Była zupełnie bezsilna. Po chwili spazm chwycił go za krtań i głośno zaszlochał. Z sekundy na sekundę widział, że Aneta jest w niebezpieczeństwie. Uczucie to przyszło z daleka jak trzęsienie ziemi i znikło. „Zawołam lekarza". Wsączył jej lekarstwo i skoczył do telefonu.

Lekarz uspokoił go. Nie powinien się niczego obawiać. Należy położyć jej jeszcze zimny kompres na serce. Michał uwierzył, bo chciał wierzyć.

Zdawało się, że jest jej trochę lepiej i że zasypia. Oddech był słabiutki. Michał spędził kilka ciężkich godzin przy jej łóżku. Strach serdeczny i złość na lekarza ustępowały miejsca nadziei, że lekarz może jednak ma słuszność.

O ósmej rano usłyszał śpieszne kroki. Twarz Anety była zielonkawa i bez kropli krwi. Tylko oczy błyszczały życiem i tłumionym niepokojem.

„Teraz robię sobie wyrzuty. Powinienem był tutaj pozostać przez noc".

„Niech mi pan powie prawdę!" — „Stan jest bardzo poważny! Trzeba zaraz sprowadzić pielęgniarkę. Wasza pokojówka nie zna się na tem.

Od tej chwili Michał nie mógł nic przełknąć. Nie golił się ani się nie mył, ani nie przebierał. W szlafroku chodził po mieszkaniu, z kąta w kąt, dzień po dniu. A gdy stawał przy jej łóżku, uśmiechał się z największym spokojem i tkliwą troską w oczach. Przez cały tydzień nosił w sercu nadzieję.

Wezwano profesora. Michałowi zdawało się, że profesor jest za młody. Dopiero gdy po zbadaniu chorej przyszedł do niego do gabinetu, Michał spostrzegł, że wygolona twarz profesora pokryta jest zmarszczkami. Poznał, że ten człowiek wiele musiał widzieć w swojem życiu. Profesor powiedział kilka słów, tak cichych i niepozornych, jak jego twarz i pozostawił Michała nadal między nadzieją a rozpaczą. Pod wieczór, dwadzieściacztery godzin przed śmiercią, Aneta w obecności Michała rzekła do siostry: „Miło jest chorować, gdy się ma tak troskliwą opiekę". Taką była Aneta. Zawsze i wszędzie pozostawała wierną życiu, zawsze nawet w najgorszem, potrafiła odczuć piękno i jednem słówkiem, wychodzącem z głębi jej istoty, drugim radość sprawić.

Michał musiał się szybko schronić do swego gabinetu. Obręcz, która ściskała mu serce, pękła naraz. Szlochając, targany spazmami, pięścią zaciskając usta, aby ona nie słyszała, ukrył głowę w ramionach na blacie biurka.

Wcześnie rano przyszła pielęgniarka do sypialni Michała. Stanęła w drzwiach. Zerwał się, szarpnięty przestrachem. Pielęgniarka wyglądała zaniepokojona. „Jest źle".

„Co się stało?" — Wyskoczył z łóżka. — „Noc minęła bardzo spokojnie. Chora spała dobrze. Nagle, przed chwilą... Musi pan natychmiast wezwać lekarza". — W tej chwili usłyszał szybki jego krok w przedpokoju.

Siostra podtrzymywała w dłoniach głowę Anety i starała się ją uspokoić. Powtarzała ciągle: „Tak, tak", chociaż nie rozumiała słów Anety. Aneta mówiła coś szybko i pomagała sobie niespokojnemi ruchami rąk. Straciła mowę.

„Atak apoplektyczny!" — rzekł lekarz. Dał jej zastrzyk. Michał stał nad łóżkiem jak ktoś, kto dostał strzał w serce, a jeszcze na nogach się trzyma. Zniknęło wszystko czucie

Po kilku minutach zasnęła. Gdy się obudziła, była spokojniejsza.

Próbowała znaleźć słowa i patrzała przytem na Michała, jak patrzy na nauczyciela pilna uczenica, starająca się zrozumieć i pojąć. Na rzęsach perliły się łzy. Około południa odzyskała mowę. Była przedziwnie piękna. Twarzyczka jasna, w oczach przemykały chmurki wzburzenia i niepokoju, na ustach jednak igrał wiosenny uśmiech. Skarżyła się na lekarza na stacji pogotowia. „Ta godzina tak mi zaszkodziła. Byłoby mi już o wiele lepiej".

Raz jeszcze zagościła w sercu Michała radość i nadzieja. Lekarz pozostał. Wystraszona służąca siedziała bezczynnie w kuchni. Odżyła dopiero, gdy Michał poprosił o kawę dla lekarza. Z ulicy dochodził lekki gwar, w kuchni szemrał młynek do kawy. Tam było życie. „Doktorze, przecież ona nie umrze?"

„To był bardzo lekki atak apoplektyczny" — zaczął potem mówić o czemś innem, aby odwrócić uwagę Michała, ale to było już niemożliwe. W mieszkaniu zapanowała cisza. Lekarz był u Anety. Michał wycinał ramkę z tektury. Z jednej strony przykleił paseczek tektury, aby ramkę można było postawić i włożył w nią fotografję Anety. Z jakąś dziwną radością majstrował Michał kilka godzin przy tej ramce. Tylko kilka razy skradał się na palcach do drzwi sypialni. Wszędzie panowała cisza. Fotografja w ramce stała przed nim. W czarującym uśmiechu Anety dojrzał rys boleści i cierpienia.

Ucieszy się, gdy pokażę jej tę ramkę, pomyślał i podszedł znowu do drzwi sypialni. Ale nie miała już zobaczyć ramki.

Michał usłyszał naraz wzburzone głosy i przejmujące rzężenie. Przestrach sparaliżował go na chwilę.

Aneta miała drugi atak apopleksji. Siedziała prosto na posłaniu, podtrzymywana przez pielęgniarkę. Dech urywał się. Przerwy były coraz dłuższe. Oczy stawały w słup dopóki nie udało się jej zaczerpnąć powietrza. Z surową twarzą, z ręką i palcem wskazującym sztywno wyciągniętemi, wskazywała na Michała i naraz głośno i wyraźnie zawołała: „Chodź do mnie!" Potem całą siłą ujęła jego dłoń i przyciągnęła go blisko: „Zostań tutaj, zostań przy mnie!"

Nadeszła ta wielka sekunda i ona wiedziała o tem. Przerwy między jednym a drugim oddechem stawały się coraz dłuższe. Lekarz w największym pośpiechu wpakował jej trzy zastrzyki w udo. Kłuł, gdzie popadło i krzyczał głośno: „Oddychać, oddychać!"

Michał krzyczał również: „Oddychaj, oddychaj!"

Ona nie oddychała.

„Centrum oddechowe sparaliżowane" — rzekł lekarz.

Raz jeszcze i jeszcze raz odetchnęła, w ostatniej sekundzie i ciężko rzężąc. Potem przyszła długa pauza. Nie chwytała powietrza, nie wypuszczała go z płuc. Szeroko rozwartemi oczyma patrzała przed siebie. Oglądała śmierć. Oddech to było życie. A ona nie mogła. W tej ostatniej straszliwej walce puściła rękę Michała. Na ostatku człowiek zawsze jest sam.

Obaj ryczeli: „Oddychać, oddychać!"

Po przeraźliwie długiej półminucie udało się jej raz jeszcze jeden zaczerpnąć powietrza, jakby już z tamtej strony, raz jeszcze wypić kropelkę życia. Starczyło tego jeszcze na pół minuty. Na ostatnich kilka sekund. Opadła na poduszki.

„Umarła!" westchnął lekarz.

„Umarła? Nie!"

„Umarła!" Lekarz odwrócił się i poszedł do łazienki — drzwi zostały otwarte — pochylił się nad umywalnią i zaczął myć ręce, patrząc przez drzwi do sypialni.

Nagle krzyknął Michał: „Doktorze, doktorze! Ona oddycha, ona odetchnęła. Żyje!"

Lekarz skoczył do łóżka z rękami pełnemi piany mydlanej. Resztka powietrza wymknęła się z płuc, mechanicznie — ostatnie westchnienie martwego ciała.

„Umarła!"

Michał jak podcięty zwalił się na łóżko z nieludzkiem wyciem. Pielęgniarka stała obok. Jej praca się skończyła. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Myślała o tem, co teraz należy zrobić. Oparła twarz na złożonych pod brodą dłoniach i patrzyła bezradnie na grupę śmierci.

Jak to człowiek się podnosi! Jak się dźwiga! Jak wstaje z ziemi! Michał podniósł się. Powoli, powolnym ciężkim, ach jak ciężkim ruchem. Nie odrywając spojrzenia od martwej twarzyczki Anety mówił tkliwie, a głos mu się urywał wysoko w gardle: „Odeszłaś Anetko, umarłaś mi? Umarłaś, umarłaś — umarła moja Anetka".

Pielęgniarka chciała zamknąć oczy zmarłej.

„Niech pani zostawi. Sam to chcę zrobić". Zamknął jej powiekę na jednem oku, a potem na drugiem. Powieka zsunęła się z powrotem w górę. Raz jeszcze ją zamknął. Znowu oko się otwarło. Błyszczące oko, jakby życiem błyszczało.

„Powieka jest sparaliżowana" — rzekł lekarz — „niech pan wyjdzie, panie Michale, niech pan wyjdzie ze mną".

Pozwolił wyprowadzić się do gabinetu. Pokojówka z Pomorza, siedemnastoletnia, spotkała ich w przedpokoju. Grube łzy spływały jej po policzkach.

(Z niemieckiego A. P.).

WYDZIAŁ REJESTRU HANDLOWEGO
SĄDU OKRĘGOWEGO w ŁODZI

Do Wydziału Rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Łodzi działu A i B wniesiono następujące wpisy za Nr. Nr.:

Nr. 13062/A. **„Rago" wł. A. Roll i W. Mertin".** Zakład mechaniczno-ślusarski. Firma istnieje od 1-go marca 1928 roku. Łódź, ulica Słowiańska 11. Właściciele: Wilhelm Albin Mertin z Różyc, gminy Gałkówek i Albert Paweł Röll, zamieszkały przy ulicy 6-go Sierpnia 34. Spółka firmowa. Czas trwania spółki nieograniczony. Zarząd należy do wspólników. Wszelkiego rodzaju pieniężne zobowiązania podpisują obaj wspólnicy łącznie, weksle pod stemplem firmowym. Żyrowanie weksli, odbiór pieniędzy z banków, instytucyj prywatnych, korespondencji, przekazów, listów poleconych i wartościowych, jak również podpisywanie korespondencji prywatnej m prawo każdy ze wspólników samodzielnie. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13063/A. **„Aron Bacharjer".** Cukiernia. Firma istnieje od 1907 roku. Łódź, ulica Wschodnia 33. Właściciel Aron Bacharjer, Łódź, ul. Wschodnia 33. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13064/A. **„Abram Moszek Blatt".** Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1 lutego 1927 r. Łódź, ul. Magistracka 16. Właściciel Abram Moszek Blat, zamieszkały przy ulicy Magistrackiej 16. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13065/A. **„Noech Braun".** Drobna sprzedaż manufaktury. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 roku. Łódź, ul. Nowomiejska 9. Właściciel Noech Braun, zamarszkały przy ulicy Północnej 13. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13066/A. **„Sura Rylka Berkenstat".** Jadłodajnia. Firma istnieje od 1920 roku. Łódź, ul. Pomorska 3. Właścicielka Sura Ryfka Berkenstat, zamieszkała przy ulicy Pomorskiej 3. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13067/A. **„Dawid Brygiel".** Drobna sprzedaż nabiału. Firma istnieje od 1923 roku. Łódź, ulica Wschodnia 42. Właściciel Alter Dawid Bigiel, Łódź, ul. Wschodnia 42. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13068/A. **„Hersz Lajbuś Koprowski".** Sprzedaż czapek, kapeluszy i skórek. Firma istnieje od 1925 roku. Łódź, ul. Nowomiejska 1. Właściciel Hersz Lajbuś Koprowski, Łódź, ul. Nowomiejska 5. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13069/A. **„Anna Erent".** Cukiernia. Firma istnieje od 1 lutego 1928 roku. Łódź, ulica Abramowskiego 28. Właścicielka Anna Erent, Łódź, ul. Abramowskiego 28. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13070/A. **„Chaim Aron Pindek".** Drobna sprzedaż artykułów spożywczych. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 roku. Łódź, ul. Pomorska 39. Właściciel Chaim Aron Pindek, Łódź, ul. Pomorska 39. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13071/A. **„Majer Dancygier".** Drobna sprzedaż drobiu i mięsa. Firma istnieje od 1918 roku. Łódź, ul. Wschodnia 40. Właściciel Majer Dancygier, Łódź, ul. Wschodnia 40. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13072/A. **„Lajzer-Icek Kryszek".** Księgarnia i sprzedaż materjałów piśmiennych. Firma istnieje od 1908 roku. Łódź, ul. Pomorska 15. Właściciel Lajzer Icek Kryszek, Łódź, ul. Pomorska 15. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13073/A. **„Michał Pacanowski".** Drobna sprzedaż pończoch i rękawiczek. Firma istnieje od 1 lipca 1927 roku. Łódź, ulica Nowomiejska 5. Właściciel Michał Pacanowski, Łódź, ul. Wólczańska 43. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13074/A. **„Abram Moszek Piotrkowski".** Sprzedaż wnętrznoci bydlęcych. Firma istnieje od 1927 roku. Łódź, ulica Wschodnia 10. Właściciel Abram Moszek Piotrkowski, Łódź, Północna 14. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13075/A. **„Jachet Perelman".** Drobna sprzedaż artykułów spożywczych. Firma istnieje od 1925 roku. Łódź, ul. Aleksandryjska 25. Właściciel Jachet Perelman, zam. w Łodzi przy ulicy Aleksandryjskiej 25. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13076A. **„Mojsze Pucman".** Drobna sprzedaż manufaktury bawełnianej i półwełnianej w resztkach. Firma istnieje od 1922 roku. Łódź, ul. Południowa 18. Właściciel Mojsze Pucman, Łódź, Południowa Nr. 18. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13077/A. **„Chil Wolf Brendzel".** Drobna sprzedaż delikatesów. Firma istnieje od 1 stycznia 1927 roku. Łódź, ul. Północna 21. Właściciel Chil Wolf Brendzel, Łódź, ul. Północna 21. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13078/A. **„Matylda Braune".** Sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 1885 roku. Łódź, ul. Kilińskiego 220. Właścicielka Matylda Braune, Łódź, ul. Kilińskiego 220. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13079/A. **„Lucja Berndt"** Piwiarnia. Firma istnieje od 1914 roku. — Łódź, ulica Pomorska 145. Właścicielka Lucja Helena Berndt, Łódź, ulica Pomorska 145. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13080/A. **„Moszek Bornsztajn".** Herbaciarnia. Firma istnieje od 1 stycznia 1927 r. Łódź, ulica Aleksandryjska 25. Właściciel Moszek Pelta Borensztajn, Łódź, ulica Aleksandryjska 25. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13081/A. **„Mordka Blinbaum".** Piwiarnia. Firma istnieje od 1926 roku, Łódź, ulica Pomorska 29 Właściciel Mordka Blinbaum, Łódź, ulica Pomorska 29. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13082/A. **„Brandla Berlińska".** Sprzedaż artykułów spożywczo-kolonjalnych. Firma istnieje od 1928 r. Łódź, ulica Wschodnia 18. Właścicielka Brandla Berlińska, Łódź, ul. Wschodnia 18. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13083/A. **„Moszek Berman".** Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1924 r. Łódź, ulica Suwalska 21. Właściciel Moszek Berman, Łódź, ul. Suwalska 21. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13084/A. **„Dawid Kaliński".** Sprzedaż towarów bawełnianych. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 roku. Łódź, ul. Nowomiejska 21. Właściciel Dawid Kaliński, Łódź, ulica Północna 7. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13085/A. **„Katania" wł. Rubin Kalman".** Sprzedaż cukierków. Firma istnieje od 25 maja 1927 roku. Właściciel Rubin Kalman, Łódź, ulica Wschodnia 25. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13086/A. **„Olga Aj".** Sprzedaż galanterji i materjałów piśmiennych. Firma istnieje od 1926 r. Łódź, ulica Abramowskiego 19. Właścicielka Olga Aj, Łódź, ulica Abramowskiego 19 Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13087/A. **„Estera Gitel Kohn".** Sprzedaż przędzy. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r. Łódź, ul. Franciszkańska 8. Właścicielka Estera Gitel Kohn. Łódź, ul. Franciszkańska 8. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13088/A. **Jakób Profesorski".** Sprzedaż pierza. Firma istnieje od 1927 roku. Łódź, ul. Franciszkańska 15. Właściciel Jakób Profesorski, Łódź, ulica Franciszkańska 15. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13089/A. **„Leokadja Dzielińska".** Piwiarnia. Firma istnieje od 1 lipca 1927 r. Łódź, ulica Odyńca Nr. 11. Właścicielka Leokadja Dzielińska, Łódź, ul. Odyńca 11. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13090/A. **„Lajzer Brant".** Drobna sprzedaż mięsa. Firma istnieje od 1890 roku. Łódź, ul. Pomorska 53. Właściciel Lajzer Brant, zam. przy ul. Pomorskiej 53 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13091/A. **„Moszek Icek Brzyski".** Sprzedaż drobiu. Firma istnieje od 1923 r. Łódź, ul. Wschodnia 3. Właściciel Moszek Icek Brzyski, Łódź, ulica Wschodnia 33. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13092/A. **„Karol Paszma".** Sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 1926 r. Łódź, ulica Pomorska 25. Właściciel Karol Paszma, Łódź, ulica Pomorska 25. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13093/A. **„Ita Paprowicz".** Sklep spożywczy Firma istnieje od 1 stycznia 1927 r. Łódź, ul. Pomorska 73. Właścicielka Ita Paprowicz, Łódź, ul. Pomorska 73. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13094/A. **„Berek Dancygier".** Sprzedaż mięsa i drobiu. Firma istnieje od 1906 roku. Łódź, ulica Wschodnia 42. Właściciel Berek Dancygier, Łódź ul. Wschodnia 42. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13095/A. **„Emilja Coller".** Piwiarnia. Firma istnieje od 1927 roku. Łódź, ul. Śląska 12. Właścicielka Emilja Coller, zam. w Łodzi ul. Śląska Nr. 12. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13096/A. **„Estera Chana Walfisz vel Todrys"** Sprzedaż pończoch. Firma istnieje od 1926 r. Łódź, ulica Nowomiejska 22. Właścicielka Estera Chana Walfisz vel Todrys, Łódź. ul. Nowomiejska 22. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13097/A. **„Icek Majer Karłowski".** Herbaciarnia. Firma istnieje od 1927 r. Łódź, ul. Wolborska 23. Właściciel Icek Majer Karłowski, Łódź, ul. Brzezińska 24. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13098/A. **„Sara Kronzylber".** Sprzedaż resztek bawełnianych. Firma istnieje od 1920 r. Łódź, ul. Pomorska 8. Właścicielka Sara Kronzylber, Łódź, ul. Pomorska 8. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13099/A. **„Abram Gedalja Kin".** Drobna sprzedaż odpadków. Firma istnieje od 1927 r. Łódź, ul. Pomorska 39. Właściciel Abram Gedalja Kin, Łódź ul. Pomorska 6. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13100/A. **„Piotr Kotlarek".** Sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 24 maja 1928 r. Łódź, ul. Źródłowa Nr. 5. Właściciel Piotr Kotlarek, Łódź, ul. Zródłowa Nr. 5. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13101/A. **„Zygmunt Walenty Rzepkiewicz"** Pośrednictwo handlowe. Firma istnieje od 1927 r. Łęczyca, ul. Więzienna 21. Właściciel Zygmunt Walenty Rzepkiwicz, Łęczyca, ul. Więzienna 21. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13102/A. **„Kacper Durko".** Mleczarnia Nadświeżańska". Firma istnieje od 2 lipca 1925 r. Łódź, ul. Przejazd 40. Właściciel Kacper Durko, Łódź, ul. Przejazd 40. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13103/A. **„Edmund Dresler vel Presler".** Sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 1 kwietnia 1925 roku. Łódź, ul. Przędzalniana 90. Właściciel Edmund Dresler vel Presler, Łódź, ul. Przędzialniana 40, Intercyzy nie zawarł

Nr. 13104/A. **„Katarzyna Galwicz".** Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1913 r. Łódź, ul Kilińskiego 229. Właścicielka Katarzyna Galwicz, Łódź, ul. Kilińskiego 229. Iitercyzy nie zawarła.

Nr. 13105/A. **„Dawid Kadysz".** Drobna sprzedaż skór. Firma istnieje od 1 maja 1927 r. Łódź, ulica Nowomiejska 21. Właściciel Dawid Kadysz z Ozorkowa, Rynek 295. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13106/.A **„Nusyn Dawid Kaufer".** Drobna sprzedaż watowanych kołder, obuwia. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r. Łódź, ul. Aleksandryjska 11. Właściciel Nusyn Dawid Kaufer, Łódź, ulica Aleksandryjska 12. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13107/A **„Luzer Hersz Bande".** Szarparnia zarobkowa. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r. Łódź, ul. Senatorska 58. Właściciel Luzer Hersz Bande, Łódź, ulica Piramowicza 9. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13108/A. **„Juljusz Braune".** Detaliczna sprzedaż mięsa i wędlin. Firma istnieje od 1927 r. Łódź, ul. Kilińskiego 199. Właściciel Juljusz Braune, Łódź, ul. Kilińskiego 199. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13109/A. **„Chaim Kopciowski".** Wyrób towarów półwełnianych, tkalnia ręczna i snowalnia. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r. przy ul. Pomorskiej 58 w Łodzi. Właściciel Chaim Kopciowski, Łódź, ulica Al. 1 Maja 8. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13110/A. **„Izrael Mendel Bernsztajn".** Zakład zegarmistrzowski. Firma istnieje od 1892 roku. Łódź, ulica Południowa 6. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13111/A. **„Estera Berger".** Sprzedaż nafty. Firma istnieje od 1924 roku. Łódź, ul. Pomorska 25. Właścicielka Estera Berger, Łódź, ulica Pomorska 25. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13112/A. **„Rubin Majer Bocian".** Drobna sprzedaż nici. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 roku. Łódź, ulica Pomorska 25. Właściciel Rubin Majer Bocian, Łódź, ul. Pomorska 25. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13113/A. **„Meblopol" I. Gutman i H. Widawska".** Wyrób i sprzedaż mebli. Firma istnieje od 6 maja 1928 r. Łódź, ul. Zielona 6. Właściciele Icek Gutman. Łódź, Nawrot 100 i Hinda Widawska, Łódź, ul. Aleja 1 Maja 19. Spółka firmowa. Czas trwania spółki roczny z automatycznem rocznem przedłużaniem. Zarząd należy do obydwuch wspólników. Wszelkie zobowiązania w imieniu firmy, weksle, przekazy, akcepty i czeki podpisują wspólnicy łącznie pod stemplem firmy. Natomiast każdy ze wspólników ma prawo prowadzić sprawy sądowe, odbierać pieniądze, listy i dokumenty. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13114/A. **„Dobrzelak i Bloch".** Fabryka wyrobów trykotowych. Firma istnieje od 6 stycznia 1928 roku. Łódź, ulica Ogrodowa 9 Właściciele Majlech Dobrzelak, Łódź, Sienkiewicza 13 i Hersz Bloch, Kalisz, ul. Wiejska 14. Spółka firmowa. Czas trwania spółki roczny z automatycznem rocznem przedłużaniem. Zarząd należy do obydwuch wspólników. Weksle, czeki, kontrakty, upoważnienia i wszelkie wogóle zobowiązania pieniężne w imieniu spółki podpisują obaj wspólnicy łącznie pod stemplem firmy. Korespondencję zwyczajną, poleconą, pieniężną, przekazy pocztowe, pieniądze z banków, ładunki, ma prawo odbierać i kwitować każdy ze wspólników, jak również każdy z nich mocen jest żyrować weksle i prowadzić sprawy sądowe i załatwiać wszelkie inne sprawy we wszystkich bez wyjątku urzędach. Intercyzy wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13115/A. **„Berta Krieze".** Piwiarnia Firma istnieje od 1918 r. Łódź, ulica Pomorska 127. Właścicielka Berta Krieze, Łódź, ul. Pomorska 127. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13116/A. **„Marta Ambrust".** Sklep spożywczo-kolonjalny. Firma istnieje od 1 lipca 1926 roku. Łódź, ulica Słowiańska 15. Właścicielka Marta Ambrust, Łódź, ul. Słowiańska 15. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 847/B. **„Towarzystwo Fabryki Koniaku, Wódek i Likierów „N. L. Szustow i S-wie".** Spółka akcyjna z siedzibą spółki w Warszawie, Ceglana 3. Oddział w Łodzi, ul. Kościuszki 39. Celem spółki jest nabycie, rozwinięcie i dalsze prowadzenie przedsiębiorstwa, należącego do spółki z ograniczoną odpowiedzialnością pod firmą „Towarzystwo N. L. Szustow i S-wie, fabryka koniaku, wódek i likierów" w Warszawie. Kapitał zakładowy 100.000 złotych, podzielony na 10.000 akcyj, całkowicie wpłacony. Zarząd stanowią członkowie: Aleksander Szwecow, Nowogrodzka 29, Bernard Głowiński, Koszykowa 51. Zastępcy: Olga Szwecow, Nowogrodzka 29 i Jan Korowkin, Tamka 44, wszyscy z Warszawy. Zarząd zastępuje spółkę wobec władz i osób i prowadzi jej interesy. Korespondencję podpisuje jeden członek zarządu względnie dyrektor zarządzający. Weksle, pełnomocnictwa, umowy, kontrakty hipoteczne i notarjalne, czeki i wogóle wszelkie inne dokumenty podpisują dwaj członkowie zarządu względnie jeden członek zarządu łącznie z dyrektorem zarządzającym Do odbioru z poczty pieniędzy, posyłek wartościowych i dokumentów wystarcza podpis jednego członka zarządu, lub dyrektora zarządzającego. Michałowi Szmitowi z Łodzi, Aleje Kościuszki 17 udzielono prokury z prawem podpisywania łącznie z jednym z członków zarządu. Spółka Akcyjna. Statut jej zatwierdzony przez Ministrów Przemysłu i Handlu oraz Skarbu, opublikowany został w Nr. 3 Monitora Polskiego z dnia 5 stycznia 1925 r. Akt organizacyjny zeznany został przed Notarjuszem Szymańskim w Warszawie dnia 27 stycznia 1925 r. za Nr. 260.

Nr. 848/B. **„Cegielnia w Koluszkach, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością".** Firma istnieje od 4 lutego 1928 r. Siedziba firmy mieści się w Koluszkach. Kapitał zakładowy spółki całkowicie wpłacony wynosi 12.000 złotych i jest podzielony na 40 udziałów po 300 zł. każdy. Zarząd spółki stanowi Jan Szwedowski z Radomska, który ma prawo samodzielnie wykonywać w imieniu firmy wszelkie czynności za wyjątkiem podpisywania weksli, czeków, pełnomocnictw, wszelkich zobowiązań, umów prywatnych i notarjalnych, które podpisuje zarządca pod stemplem firmy z którymkolwiek ze wspólników, którymi są: Zofja Topolewska, Stefanja Graczykowa, Ryszard Jan Torobojski. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Akt spółki został sporządzony przez Notarjusza Piaszczyńskiego w Piotrkowie dnia 4 lutego 1928 r. za Nr. 80. Czas trwania spółki określony został do 4 lutego 1928 r.

Nr. 849/B. **„Przemysł tekstylny, Towarzystwo dla Handlu i Przemysłu Włókienniczego, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością".** Siedzibą firmy jest Łódź, ul. Narutowicza 32. Celem i przedmiotem spółki jest handel towarami włókienniczemi na własny lub cudzy rachunek, tudzież wyrób takichże towarów we własnych lub cudzych przedsiębiorstwach fabrycznych. Kapitał zakładowy spółki całkowicie wpłacony wynosi 100.000 złotych i jest podzielony na 100 udziałów po 1.000 zł. każdy. Zarządcą firmy jest Chil Prawda, zam. w Warszawie przy ulicy Tłumackiej Nr. 11, który jest uprawniony do samodzielnego działania w imieniu spółki i do podpisywania jej firmy bez jakichkolwiek ograniczeń. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Akt spółki został sporządzony przez Notarjusza Tyborowskiego w Warszawie 21 kwietnia 1928 r. za Nr. 1962. Czas trwania spółki nieograniczony.

Nr. 850/B. **„Drabina", Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością".** Celem spółki jest wyrób wszelkiego rodzaju drabin. Siedzibą firmy jest Łódź, ulica Kilińskiego 136. Firma rozpoczęła czynności 15 maja 1928 r. Kapitał zakładowy spółki wynosi 14.000 złotych i jest podzielony na 140 udziałów po 100 zł. każdy. Kapitał został wpłacony do kasy całkowicie. Zarządcami firmy są: Karol Jan Wende, Kilińskiego 136 i Artur Wacławik, Aleje Kościuszki 81, obaj w Łodzi zamieszkali. Wszelkie bez wyjątku akty, pełnomocnictwa, weksle, czeki i inne zobowiązania, odbiór pieniędzy z poczty, instytucyj kredytowych oraz urzędów winny być podpisywane i kwitowane przez zarządców łącznie pod stemplem firmowym. Natomiast każdy z zarządców samodzielnie ma prawo odbierać listy z poczty, podpisywać zwykłą korespondencję, zawierać kontrakty najmu, dzierżawy i umowy z personelem Prokurentem firmy jest Rudolf Richter, który ma prawo łącznego podpisu z jednym z zarządców. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Akt spółki został sporządzony przed Notarjuszem Jeżewskim w Łodzi 14 lutego 1928 r. za Nr. 547. Czas trwania spółki nieograniczony.

Obwieszczenie.

Komornik przy Sądzie Okręgowym, Wacław Walter, na powiat brzeziński w mieście Brzezinach zamieszkały obwieszcza, że w dniu 4 września 1928 r. od godz. 10 rano w sali posiedzeń Sądu Okręgowego w Łodzi przy ulicy Żeromskiego Nr. 115, odbędzie się na żądanie Jana-Antoniego Borowińskiego sprzedaż przez licytację w drodze działów majątkowych nieruchomego majątku pozostałego po zmarłych: Szymonie i Elżbiecie małżonkach Borowińskich.

Majątek ten położony jest w osadzie Jeżowie, w gminie Popień, w powiecie brzezińskim i składający się: 1) części nieruchomości przy ulicy Kościelnej do tabeli nadawczej pod Nr. 98 zapisanej a mianowicie: placu-ogrodu ciągnącego się w stronę ulicy Stodolnianej pomiędzy nieruchomościami własności z jednej strony spadk. zm. Józefa Lisika, zaś z drugiej strony Szymona Lisika, wraz z połową domu mieszkalnego z drzewa w stanie lichym i obory z komórką z drzewa w stanie b. zniszczonym; 2) działki gruntu obszaru około półtora morga bez zabudowań do tabeli zapisanej pod Nr. 92; oraz 3) działki gruntu obszaru około czterech mórg, na której znajduje się stodoła z bali; obie działki położone są w obrębie gruntów osady Jeżowa stanowią jedną całość i ciągną się od szosy ku wsi Białynin w stronę gruntów wsi Góra.

Majątek ten hipoteki nie posiada, w zastaw oddany nie jest, podlega sprzedaży w całości podług opisu z dnia 3 grudnia 1927 r. na zasadzie tytułu wykonawczego Sądu Pokoju w Brzezinach z dnia 21 października 1927 r. za Nr. C. 340/23 r.

Licytacja rozpocznie się od sumy zł. 4000 (cztery tysiące).

Osoby zamierzające wziąć udział w licytacji składają kaucję w kwocie złotych czterysta (400).

Komornik (—) Walter.

Fabryka Wyrobów Bawełnianych

„Franciszek Ramisch", Sp. Akcyjna

w Łodzi

253

Bilans zamknięcia na dzień 31-go grudnia 1927 roku.

STAN CZYNNY.

	Zł. i gr.
Kasa	190,661.55
Weksle	296,617.91
Papiery wartościowe	60,725.57
Przędza, surowce i materjały	1,302,466.04
Nieruchomości	519,857.14
Maszyny, kotły i urządz. fabr.	1,586,130.77
Ruchomości	17,701.60
Zaprzęgi i samochody	27,542.—
Dłużnicy	172,613.54
Sumy przechodnie	3,792.92
Przeniesienie straty z r. 1926	87,609.21
	4,265,718.25

STAN BIERNY.

	Zł. i gr.
Kapitał akcyjny	750.000.—
Długi hipoteczne	51,585.76
Akcepty	1,878,397.78
Wierzyciele	1,232,982.22
Zysk w roku 1927	352,752.49
	4,265,718.25

Rachunek strat i zysków na dzień 31 grudnia 1927 r.

WINIEN.

	Zł. i gr.
Podatki	220,966.52
Świadczenia socjalne	76,422.01
Koszty handlowe	93,572.11
Zysk w roku 1927	352,752.49
	743,713.13

MA.

	Zł. i gr.
Zysk brutto	743,713.13
	743,713.13

Podział zysku

	Zł. i gr.
Na kapitał amortyzacyjny	218,061.65
Rezerwa	27,359.81
Wynagr. Zarządu i Kom. Rew.	12,500.—
Na umorzenie straty z r. 1926	87,609.21
Przeniesienie zysku na r. 1928	7,221.82
	352,752.49

Redakcja i Administracja w Łodzi
ul. Piotrkowska Nr. 85. Telefon Nr. 45-50

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina.*
Odbito w Drukarni Państwowej w Łodzi, Piotrkowska 85. 35528